



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA

Pożegnałem się z wami, wyjeżdżając do Krakowa na pierwsze przedstawienie „Larika”; obecnie witam po powrocie.

Aleksander Dumas (ojciec), jeździł podobno onego czasu z Paryża do Berlina, aby zobaczyć „Dziewicę Orleańską” na scenie i napisać o niej recenzję; wycieczka taka w odmiennych o wiele warunkach przedstawiała się inaczej, niż dzisiaj, była poświęceniem dla sztuki i dowodem nadzwyczajnego zamiłowania, oryginalności w swoim rodzaju. Pędzić setki mil bez wytchnienia tam i napowrót mógł tylko zapalony teatroman, krytyk poważnie pojmujący swoje zadanie, oryginał, który nie cierpiał szablonu i popsyłności.

Dzisiaj, siada się wygodnie w wagonie, życzy się swojemu towarzyszowi „dobrej nocy” i zasypia przy monotonnym turkocie lokomotywy, aby się obudzić zrana, tuż u celu podróży, trochę znużonym i ziewającym, lecz bez wszelkiego poczucia bohaterstwa, bez przeświadczenia, że się zrobiło coś nadzwyczajnego dla miłości sztuki i teatru, tembardziej wiedząc, że się nie jest... Dumasem.

Wybraliśmy się w kilku do Krakowa, jak na przejażdżkę; jeden krytyk, jeden redaktor, jeden autor dramatyczny, wasz pokorny sługa felietonista i, aby do kompletu nikogo nie brakło w tej literackiej wyprawie: jeden wydawca.

Kraków lubi warszawskich gości, więc nas przyjął otwartymi rękoma.

Dziwiono się trochę, że warszawscy literaci przyjeżdżają na premierę teatralną, kiedy ani jednemu krakowskiemu kolledze nie przyszło dotąd na myśl wybrać się do Warszawy z tego

samego powodu, by poznać naszą scenę lub rozgłośniejsze jakie dzieło oryginalnej twórczości. Jest to potrosze obojętność Krakowian i Galicyi wogóle dla Warszawy i jej spraw miejscowych, a w większej części pewna ociężałość, która stanowi tu charakterystyczny rys natury krakowskich literatów, dzienkarzy i krytyków; „zasiedzieli się na swoich śmieciach”, „z domowego zapiecka niechętnie się ruszają.

O wielu z nich możnaby to samo powtórzyć, co pewien złośliwy dowcipniś powiedział o sobie i młodszych kolegach po piórze:

— Próżnujemy za dużo, pracujemy zamało, kważniejemy i śpiemy zawiele; ja mógłbym być innym, ale mi się nie chce.

To „nie chce się” ma tylko jeden wyjątek, o którym przysły kronikarz Krakowa będzie musiał rozpisywać się obszerniej; handelek i kawiarnia, powiedzmy krócej, a dobitniej: knajpiarstwo, zawiele miejsca zajmuje w codziennym, powszednim życiu Krakowa.

Na dwóch krańcach linii A—B., stanowiącej główną arterją ruchu miejskiego w rynku, zapłonęły dwa ogniska, u których przesiaduje najczęściej męzka połowa podwawelskiego grodu. U Hawelki i u Rehmana zawsze, o każdej porze gwarno i ludno; te dwie stacje, nie jedynie, ale najważniejsze, tętnią najdłużej i najsilniej, przynajmniej na oko, publicznym życiem i ruchem.

O ósmej wieczorem cały Kraków ziewać zaczyna, począwszy od przechodniów, a skończywszy na koniach dorózkarskich; o dziesiątej chrapie się już pod koldrą snem sprawiedliwego, ale wśród ciemnych okien całego rynku, jak czerwone ślepia Molocha do północy i dłużej świecą okna dwóch rywalizujących handelek i jednej cukierni, poza którymi widać tłum ojców i synów sławetnego grodu, zalewających robaka po robaku.

Płeć piękna rzuca się z nudów w objęcia Mor-

feusza, podczas gdy płeć brzydka (niesłusznie tak nazwana, bo Krakowiacy na ilość przystojniejsi są od Krakowianek), politykuje i filozofuje przy kufkach.

Może to nie jest tylko przypadkowym faktem, że w dawnej stolicy Jagiellonów książęce pałace z herbami ogromnymi u szczytu zamieniają się na hotele i restauracye, a średniowieczyna dostarcza stylu już nie samym gmachom i zabytkom dawniejszej i nowszej architektury, lecz... miodosytom, urządzonym ściśle według wzorów starodawnych szynkowni.

Nie powinienem zanadto obwiniać Krakowa wobec Warszawy, która pod tym względem odgrywa rolę kotła przy smolącym garnku.

Wszystko to wszelako nie ma nic wspólnego z „Larikiem”, ani z p. Gadomskim, jego twórcą, dla którego głównie sprzeniewierzyłem się Warszawie, porzucając ją w chwili, gdy stawała się coraz więcej interesującą dla felietonisty i kronikarza.

Teatr Krakowski pod dyrekcją p. Gliksona, a reżysseryą p. Lubicza, zachowuje dobrą tradycją względem sztuk oryginalnych i repertoaru, który zmienia się z konieczności co tydzień. Publiczność tu zbyt mała, aby jednej sztuki na długo starczyło; nowość musi ją każdej soboty wabić do teatru, inaczej woli pójść spać, niż iść poraz drugi na sztukę raz widzianą.

Dwa, trzy razy z rzędu grana komedia lub dramat—to powodzenie, równające się dziesięć-krotnej liczbie przedstawień w Warszawie.

Teatr niewielki, ale i widzów niewiele; co tydzień spotyka się mniej więcej jedną i tę samą publiczność w łóżach i krzesłach, a zazwyczaj brak tych, których szczególniej bywają obchodzić sztuka i scena. Jest tu intelligencja, są literaci, których ze świecą nie znalazłbyś w teatrze, nawet na rozgłośnych premierach oryginalnych.

Arystokracja i „towarzystwo” ma swoje uprzy-

wilejowane czwartki, ale wymagają tylko dobrej zabawy i łatwego śmiechu; francuzka komedia najlepiej im smakuje. *Tout comme chez nous.*

Sala teatralna ma wygląd bardzo niepokojący, mieszczański, pospolity, niczem nie przypominający salonu sztuki dramatycznej; siedzi się w pantoflach, omal, że nie w czapkach i kapeluszkach nagłowie. Gdyby ktoś z krzesel zaczął głośno rozmawiać z lożami pierwszego piętra, sądzę, że nie wywołałoby to wielkiego zdziwienia i zgorznięcia. Tak sobie, pogospodarsku, podomowemu, traktują tu scenę.

Za kulisami ciasno, brudno, niewygodnie; na drzwiach ostrzeżenie, aby nie wchodzić, ale nikt na nic nie zważa; idzie, jeżeli mu się podoba, rozmawia z artystami, wchodzi na gawędę i papierosa do garderoby artystek. Wszyscy się znają tutaj i żyją jakoś za pan brat, familiarnie, poufale.

Teatr, niezasobny w przybory, meble, rekwizyty na scenę: więc przemysłowy i sprytny reżyser ściągą z prywatnych domów garnitury, obrazy, dywany, świeczniki, co potrzeba; cała wystawa nieraz w komedii salonowej należy do publiczności, zasiadającej w lożach i krzesłach, która temi środkami wiąże się niejako ze sceną i sztuką.

Personel dość liczny, ale nie-wyborowy, talentów prawdziwych mało, lecz użyteczności najwięcej; pracować trzeba ciężko, ról uczyć się wiele, próbować rano i popołudniu, grywać wieczorem, w niedziele dwa razy dziennie; wznowienia idą o jednej próbie nawet ze zmienioną obsadą, nowości, nawet takie, jak „Larik”, po trzech pełnych próbach są gotowe do grania.

Rozumie się, że zasób repertoaru musi wpływać na jakość gry i rozwój talentów; pośpiech szkodzi staranności i wykończeniu ról. Grymasów i kaprysów robić nie wolno, grać trzeba wszystko za jedne i te same pieniądze, *feu* nie istnieje, całą nagrodą bywa oklask publiczności rzadki, oziębły najczęściej, i recenzja, pisywana krótko piórem Zoilów miejscowych, którzy mają wspólne wszystkim recenzentom teatralnym wady i słabostki.

Gdy zanadto dokuczają dyrekcji i artystom, biorą sami ciągi w korespondencych do pism zamiejscowych, lub w humorystycznych uciunkach, o które starają się dotknęci dla odwetu.

Bywa tu taksamo, jak na całym świecie, gdzie sceną rządzi krytyka, a krytykami—kobiety.

Dramat i tragedia stanowią w repertoarze *malum necessarium*, publiczność codzienna woli komedya i farsę, niedzielna i święteczna ląkanie wzruszeń i wrażeń silniejszych. Do tragedii brak odpowiednich aktorów i wystawy; trzeba się posługiwać „środkami” zamiast „sił”, latać, sztukować, nadrabiać, dekoracje i kostiumy dopasowywać, jak się uda.

Z ubytkiem dawnego dyrektora Koźmiana, po wagi w swoim zawodzie i jedyne go po nim kierownika z kompetencją literacką i estetycznym znawstwem, Sarneckiego Zygmunta, nastąpiły czasy bezkrólewia w teatrze krakowskim. Kierownictwa w wyższym i szlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu na scenie niema i być nie może w danych warunkach; jest tylko rutynowana i sprytna reżyseria, dobra wola dyrekcji i intuicyja z zamiłowaniem sztuki w artystach. Wszystko to razem składa się na znośną całość.

„Larika” wystawiono na benefis p. Rygera Edmunda, który należy tu do ulubieńców publiczności i posiada sam jeden warunki na tragika, takie, iż szkoda było je zmarnować.

Tytułową rolę grał on bardzo starannie i inteligentnie, charakter bohatera dobrze uchwycił i wycieniował artystycznie; miał chwile, w których do głębi wstrząsał, jak np. w akcie trzecim w scenie więziennej, lub w czwartym przy zabicju córki.

Talenta autora i aktora uzupełniły się w tej kreacji, a słuchacza z wielkim nadwyzajnem nawet, jak na Kraków, zajęciem słuchali całej sztuki, która w ramach scenicznych nabrała kolorytu i plastyki wiele efektownego obrazu, pomimo nieszczygólnych warunków obsady i wystawy.

P. Gadomskiego wywoływano po każdym akcie, jak na to zasługiwał, a oklaski świadczyły,

że publiczność rozumiała znaczenie utworu i intencje autora; że mu nie tylko dziękowała za wrażenia, ale że zachęcała jego talent do dalszej pracy twórczej, która w „Lariku” tak obiecująco miała początek. Dramaturgów w naszym zakresie, w szlachetniejszym stylu, oryginalnych i pomyslowych, posiadających siłę i natchnienie, prawdziwie mężki talent, mamy tak nie wielu w literaturze naszej, że takich, jak p. Gadomski, pracowników do nader cennych i pożądaných nabytków zaliczyć trzeba.

Najmilszą zapewne owacyą dla autora „Larika” był adres młodzieży, oddającej się studiom nad literaturą polską, który wręczono mu na wyjeździe w Krakowa, a w którym znalazł dowód, że myśli jego i uczucia, ujęte w dzieło sztuki, odbiły się wdzięcznym echem w sercach i umysłach pokolenia, które o oziębłość i przedwczesną apatyą pomawiają.

To nagroda bardzo pochlebna i zaszczytna. Widziałem po „Lariku” na scenie krakowskiej „Lillę Wenedę” Słowackiego przedstawioną na benefis p. Kałużyńskiej. Kiedy się takie dzieła spotyka na scenie, człowiek po pospolitości i mieszczańskim charakterze naszej atmosfery teatralnej oddycha szerszą pierśią.

Co to za niepospolity materiał na wielkiego tragika polskiego z szekspirowskim zakrojem zginął w tym Słowackim!... nie potrzebowałibyśmy innym zazdrościć tylu arcydzieł literatury dramatycznej, gdyby był dłużej, spokojniej i dojrzalej tworzył dla rodzimej sceny autor „Mazepy”, „Balladyny”, „Beatryx Cenci” i „Horsztyńskiego”...

A propos „Beatrycy”, winienem wspomnieć, że zasłużył dla naszej poezji popularyzator jej i tłumacz na język francuzki, p. Juliusz Mien, wykończył przekład tej tragedii i w tych dniach wydaje go już z druku.

Zagranica będzie miała sposobność porównać dzieło polskiego poety z dziełem angielskiego pessimisty Shelle’ya, który na tym samym temacie osnuł swoją tragedya o Cencich.

W tym samym czasie, w którym publiczność krakowska zajmowała się „Larikiem” na scenie, obrazy p. Antoniego Piotrowskiego w Sukiennicach wystawione budziły niezwykły podziw miłośników i znawców sztuki malarskiej; jest to szereg epizodów z wojny serbsko-bułgarskiej, której artysta nasz był naocznym świadkiem. Obrazy te nadejdą wkrótce do Warszawy; jest ich kilkanaście, oprócz szkiców ołówkowych i charakterystycznych zbiorów etnograficznych z Bułgarii, bardzo ciekawych.

P. Piotrowski na wzór Wereszczagina przeniósł na płótno sceny z bratobójczej kampanii za Bałkanami a uczynił to z taką plastyką, prawdą i wiernością, że niemal przed oczy postawił zaczarowaną żywą naturę. Widz patrzy i jakby przez szkło pomniestające widzi ogromne walki krajobrazów pustych, ponurych, grozą ról owianych, widzi przemarsz wojsk, życie za okopami, w lazaretach, ataki piechoty, manewra konnicy i w tem wszystkim czuje prawdę realną, podziwia wybornie uchwyconą charakterystykę ludzi, miejsca, chwili danej; nie wątpi, że to wszystko z natury malował naoczny świadek i artysta niepospolicie utalentowany.

Obrazy p. Piotrowskiego swoją treścią i wykonaniem żywo zainteresują publiczność warszawską, jakkolwiek natrafia na porę *par excellence* wystawową. W Hotelu Europejskim jedenaście czy dwanaście salonów zajęła wystawa sztuki i starożytności z inicjatywy hr. Józefa Krasieńskiego na korzyść Towarzystwa Dobroczynności urządzona.

Wnosząc z wyniku pierwszych dni kilku, dochód zbierze się znaczny i ciekawych nie braknie, skoro w jednym dniu 1,000 osób zwiedziło wystawę.

Przeszłość szczytki skarbców i zabytków swoich oddała na podziw terażniejszości; znalazły się tu drogie przedmioty sztuki, historyczne pamiątki, wspaniałe brzozy, srebra, kosztowności, stylowe meble, tkaniny, pasy, makaty, medale, obrazy; dla znawców i profanów jest to uczta oczu.

Zarzucają wystawie brak większego ładu i

gruppowania według epok i stylów, opóźnienie katalogu drukowanego i drobniejsze usterki w urzędzeniu; ale mimo to wszystko całość nie chybiła pod względem efektu i głównego celu.

Wystawa pouczająca i pożyteczną się okazała, zatem — godzi się przyjąć ją, jej inicjatorów i organizatorów oklaskami uznania i podzięk.

Jak było do przewidzenia, na wiadomość o wystawie, tak rzadkiej i oryginalnej, przybyło z zagranicy kilku agentów i handlarzy, którzy zaczęli krażyć, niby kruki około starych świecideł, kusząc właścicieli do pozbycia się swych zabytków za drogą stosunkowo cenę.

Obce muzea i zbiory mogłyby się zasilić i wzbogacić niejedną polską pamiątką, gdyby nieopatrzni posiadacze chcieli się ich lekkomyślnie pozbyć.

Pokuszenia mogą być wielkie w tych czasach, w których gotówka staje się coraz rzadszym okazem, a ludzie z potrzeby i konieczności gotowiby byli własne zęby sprzedawać i po jednym włosku całą czuprynę sobie wyskubać, gdyby kto za to chciał płacić.

Coraz częściej handluje się też wszystkim u nas, a zwłaszcza honorem i sumieniem; te dwa towary poszły na targ podłych przekupniów. W ostatnich dniach oburzeniem przejął całą Warszawę wypadek oszustwa i kradzieży, popełnionej przez człowieka, który śmiał się wkręcić nawet w sferę literacko-wydawniczej; długi czas ludzi on nader sprytnie łatwowiernych pozorami, udawał bogatego, prowadził rozliczne przedsiębiorstwa, założył tygodnik programowy, zważywszy do współpracownictwa ludzi uczciwych i dobrej wiary, aż w końcu po kilku latach życia nad stan i niefortunnych spekulacyj zniknął z Warszawy, ograbiwszy jedną z pieniężnych instytucyj, jakoteż wiele osób prywatnych, a między niemi własną rodzinę, żonę i dziecko.

I taki pan domagał się prawa... głosu w prasie polskiej, śmiał występować, jako redaktor i wydawca, śmiał nadużywać wiary i opinii uczciwych ludzi.

Wypadek ten byłby zawsze sromotnym i haniebnym; ale dzisiaj, gdy nie należy do wyjątkowych i odosobnionych, gdy jest tylko jednym z skutków przyczynny rozpowszechniającej się coraz bardziej, zwraca szczególniejszą uwagę i zasługuje na tem sroższe napiętnowanie pod pręgierzem publicznym.

W *Kuryerze Codziennym* znalazłem bardzo trafne uwagi w artykule podpisanym inicjałami Ig. Ch. z powodu owego wypadku, świadczącego smutnie o owej „gorączce złota”, jaka opanowała nas za przykładem Zachodu. Bez pracy, psim swędem, bez trudu, garną się ludzie do zdobywania bogactw; szachrajstwo, szwindel pomaga im do tego, a społeczeństwo?—pyta autor i odpowiada: „Społeczeństwo zachowuje się biernie, bo zamiast karcić, podziwia przedewszystkiem ten spryt, który pozwolił owemu jegomości wydstać się i wyrósć nad innych, uprawnia jego wybryki, nie pyta, z kąd i jaką drogą doszedł do grosza, który na wszystkie rozrzuca strony, — słowem, nie tylko toleruje podejrzanę życie, lecz poniekąd zachowaniem się swoim do podobnych praktyk zachęca. I to jest właśnie grzech ogółu. Dopuszcza się on go naturalnie bez świadomości, ale dopuszcza się właśnie dlatego, iż sympatyzuje z owym kierunkiem, gonącym za zbgacaniem się, a zwanym ogólnie: prądem wieku.”

W tej pobłażliwości i zubożeniu opinii publicznej u nas, w tem patrzaniu przez palce na ludzi nieczystych i sprawy niejasne, w tem przemilczaniu złego i występnego, leży wielka wada naszych stosunków społecznych i towarzyskich, która pomaga do krzewienia się chwastów i kółku wśród zdrowego ziarna, rozzuchwała i bezkarnością opinii ośmiela czelne jednostki do nadużyć, a ogół oswaja coraz bardziej ze złem.

Nosimy wrzody pod jedwabną suknią i aby jej nie rozoderżać, pozwalamy, aby się rak coraz głębiej wżerał w nasz organizm. Dajemy się okłamywać lekkomyślnie i uczymy okłamywać innych nawzajem.

Dziwaczem wydało się konkursowe pytanie nowej redakcyi *Wędrowca*, która poddała swym

czytelnikom temat z kodexu przyzwoitości i moralności do rozwiązania, a które, jak się teraz okazało, bardzo na czasie wypadło. Poleciała ona rozwinąć i uzasadnić: oile leży w interesie społeczno-moralnym ogółu, aby dwaj ludzie, którzy nie mają powodu do wzajemnego szacunku, zachowywali jednak (lub nie) względem siebie rozmaite formy etykietałne, jak zdejmowanie kapelusza, podawanie sobie ręki w salonie i t. d.

Pominąwszy stylizacją nie dosyć jasną, pytanie to może mieć praktycznie ważniejsze i donioślejsze znaczenie, aniżeli z pozoru wydawać się może; gdybyśmy bardziej zważali na to, komu się kłaniać wypada, lub kogo zaszczycać można podaniem ucziwej i nieskalanej ręki, gdybyśmy zdobyli się na odwagę cofnięcia dłoni przed człowiekiem, który na szacunek nasz nie zasłużył a odwracali głowę od najuprzejmiej uśmiechniętych łotrzyków, których tak często nasz ukłon niesłusznie równouprawia pod względem czci należnej z najuczciwymi—stosunki nasze wyszlachetniałyby moralnie, opinia publiczna zyskałaby na powadze i godności, a szalbierstwo, podstęp, przewrotność i nieuczciwość nie śmiałyby podnosić czoła tak zuchwale, jak to dziś czynią.

Do tego wszelako potrzeba mieć trochę więcej cywilnej odwagi i pewności siebie, czuć się wyższym moralnie od tych, na których z góry spoglądać jest obowiązkiem honoru i ambicyi.

Opinia publiczna powinna przywrócić pęgier dla łotrzyków i rzezimieszków wszelkiego rodzaju, jeśli nie chce, aby się z niej naigrawano.

Wtedy będziemy się mogli łatwiej rozróżniać w gromadzie.

Quis.

DAWNE PISARKI POLSKIE.

(Dokończenie).

Nie przytaczając już dalej kobiet piszących u innych narodów, zastanowimy się tylko nad tem, co było przyczyną takiego milczenia kobiet naszych w dziedzinie piśmiennictwa. Ze autorstwu niewiast bynajmniej nie sprzyjało położenie ich w społeczeństwie; że talentów wrodzonych nie rozwijało ani wychowanie, ani sposób życia późniejszego: o tem rozwodzić się nie potrzebujemy. Ale w najgorszych warunkach natchnienie i zamiłowanie poezji popycha człowieka do jałowej nawet produkcji literackiej: przeto trudno przypuścić, aby kobiety staropolskie całkiem nie zdolne były do twórczości poetyckiej, lub nie miały ochoty do wypowiedzenia tego, co im pierś rozpierało, jeśli Bóg dał talent i natchnienie. Śmiało powiedzieć można, iż niejedna staropolska niewiasta w cichości ducha tworzyła wiersze, ale żadna nie miała prawdziwej odwagi do występowania ze swemi utworami publicznie. Żeby miała być niewiasta staropolska upaśledzona pod względem umysłowym, któż to twierdzić będzie? Znamy w dziejach naszych tyle dziełnych niewiast, obdarzonych niepowszednim umysłem—weźmy choćby taką żonę Stanisława Żółkiewskiego, której listy do męża przedstawiają dowód jej umysłu jasnego, silnego, obejmującego doskonale sprawy publiczne, oraz duszy, otwartej dla wszystkiego, co podniosłe i szlachetne.

Przesąd przeszłości, obalony dopiero w naszym stuleciu, nie tyle może był wymierzony przeciwko samej działalności literackiej, ile przeciwko publicznemu z nią popisowi. Dla tego—to Zofia Oleśnicka nie położyła swego imienia na „Pieśni nowej,“ lecz tylko zdradziła się akrostychem; dla tego—to Piotrkowczykowa drukowała swój poemat bezimiennie, a Czarnkowska poezje swoje chowała w rękopismach, które poza obręb rodziny nie wychodziły i wśród niej zaginęły. Być może, iż podobny los byłby spotkał i pisma Drużbackiej, gdyby nie to, że wydobyl je na jaw od cichej matrony Jędrzej Załuski, już w dobie takiej, kiedy przykład pani Dacier kazał innym narodom za-

zdroszczyć sławy, którą uczona ta niewiasta Francją okryła. Anna Memorata była śmielszą i podpisywała się pod swemi wierszami może dlatego, iż urodziła się pomiędzy Braćmi Czeskimi; a jednak jej i wiersze osobno nie wyszły, lecz tylko pomieszczone zostały w zbiorze Chrystyana Teodora Schossera.

Na odgrózenie kobiet od literatury godziły się ze sobą owoczesne pojęcia chrześcijańskie i tak wszechwładne w epoce Odrodzenia reminiscencye świata starożytnego. Dla dusz bogobojnych ideałem była kobieta uległa mężowi, pilnująca rządu domowego, Salomonowa „niewiasta mężna,“ której cena daleko od perel i dyamentów, a której mężstwo zasada się wyłącznie na skrzętnem gospodarstwie. Etycy staropolscy, (jak np. Ks. M. Jaśkiewicz, kanonik chełmski, autor dzieła: „Polityk chrześcijański“ z połowy XVIII w.), wyliczając przymioty kobiece, o wykształceniu nie wspominają wcale. Owszem, czuć nieraz obawę, że rozwój umysłowy, uprawa talentów może być zawadą w pełnieniu obowiązków domowych, stawianych zawsze na pierwszym planie. Przesąd ten skrytykował się w przyszłości, zapisaniem już u Salomona Rysińskiego: „Która czyta, śpiewa, gędzie (gra na jakimś instrumencie), z tej rzadko cnotliwa będzie.“ Nawet przez myśl nikomu nie przechodziło, że już wychowanie dzieci wymaga od matek należytego rozwoju umysłowego. Im samym bardzo skąpo sączono naukę w dzieciństwie; w domu i w szkołach klasztornych czytały wyłącznie Żywoty świętych i inne dzieła duchowne. Jednostronnie ascetyczne wychowanie wpajało niewątpliwie bogoboję, surową cnotę i inne cenne przymioty, znamionujące staropolską niewiastę, ale przytem zacieśniało widnokrąg jej myśli i wyobrażeń. Ztąd też niejedna, czująca w duszy ogień natchnienia, zdobyła się niewątpliwie na ułożenie jakiej pieśni pobożnej, na poemat o świętej, do której miała szczególniejsze nabożeństwo (jak Piotrkowczykowa do świętej Katarzyny); czasami któraś śmielsza i bardziej światowa ułożyła jaką niewinną piosenkę świecką: ale taka Niemierzycowa już okazała nielada odwagę, pisząc romans. Samo czytanie książek świeckich—a zwłaszcza, o zgrozo! romanów—w wielu domach uchodziło za kosztowanie owocu zakazanego, aczkolwiek „Gryzelda, Magielona, Paskwalina,“ a osobliwie czuły „Koloander,“ wielki powab dla płeć białogłowskiej miały. Taka nawet Drużbacka, opiewająca króla Dawida i św. Maryję Egipcyankę, nie sromowała się jednak pisać fabuły o księciu Adolfie, choć może niejedni za to ją ganili.

Nawet w studyach nad odrodzonym klasycyzmem stawał również ideał kobiety z zacieśnionym obrębem działalności. Wspominano, że u Greków kobieta siedziała w gynecium ukryta przed obcym okiem, że nawet u Rzymian, gdzie używała owiele większej swobody i znaczenia, najwyższą pochwałą dla niej było, gdy jej napisano na nagrobku „domum servavit, lanam fecit“ (domu strzegła, kądziel przędła).

Czyż można więc dziwić się, że wobec takiego układu pojęć staropolskich wykształcenie kobiet było jednostronne, a talenta niewieście nie znajdowały w świecie ówczesnym poparcia i musiały albo zaniknąć albo rozwijać się powoli w zaciszu i przechodzić w dyletancką zabawkę. Wogóle umysłowo rozwinięta niewiasta, garnąca się do nauki, nie cieszyła się łaską opinii publicznej. Przydomek mędrochy, mędrochny, mądrozki, źle ją zalecał w oczach zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Pomniki staropolskie pełne są wycieczek przeciwko mądrym żonom, przy których źle miało być mężowi. Najwięcej tych podjazdów mamy z XVII wieku, gdyż poprzednie stulecie daleko wzniosłej i szlachetniej obchodziło się z kobietą. Przytoczymy tu kilka dobitniejszych przykładów.

Krzysztof Opaliński, ów przesadny pesymista, chcący odgrywać rolę Juwenalisa polskiego, nie szczędził gromów swoim niewiastom, choć współczesne Polki wyjątkowo chyba na nie zasługiwały. Satyra I księgi II-giej: „Na zepsowanie stanu białogłowskiego obyczaje“ maluje ten stan, jakoby złożony z samych ładazyc. Dostało się tam i mądrym białogłomom:

Cóż o owych rzeczecie, co się sobie mądre Zdadzą? co więc łaciną w mowie nadrabiają? Będzie tam czasem: *ad rem*, rzekł Jego Mość. Będzie *respublica* na placu. Parlament Francuzki, Konsystorz Rzymski, Porta Otomanska, zgola Nowiny zewsząd będą, awizy. a gęba Lata jako kołowrot, słowa jako z pytla: Król nam wolności łamie, powiada: ba, dobrze, Aby złamał twę wolność, której w tobie nazbyt. Dyskuruje o wojnach, hetmanach, o sejmach, Kądziele zapomniawszy, albo igły z nicią.

Zawsze odesłanie kobiety od kwestyi poważniejszych do kądzieli i kuchni stanowiło *ultimam rationem* przeciwników wykształcenia niewieściego.

Autor „Złotego jarzma małżeńskiego“ (z XVII wieku), który wogóle kobietom srodze przygania i zdaje się popierać bezżeństwo, za rzecz niebezpieczną poczytuje czytanie, pisanie i granie. „Umie czytać—mówi—a rada siła czyta, to wtenczas zbiera truciznę jadowitą jako pajak, a sieci na cię jako na muchę dzieje.“—W odpowiedzi dany (któ wie, czy to była dama) na „Złote jarzmo,“ zatytułowanej także „Gorzka wolność młodzieńska“ czytamy: „Głupiej bardzo i nazbyt mądrej nie pojmuj... Będzieli zaś mądra, co ją pojmiessz, bądźże i ty mądry i nie daj jej brać góry nad sobą; boś ty pan i głowa, niech ona rozumu swego na gospodarstwo, na rząd domowy, na pozycie przystojne zażywa; nie na ciebie.“

Nawet taki Krasiecki, człowiek ogladzony po francuzku, bywalec salonowy, w obrazku „Damskie nauki,“ szydził nielitośnie z rozpraw kobiecych o poważniejszych kwestyach. Jakżeż musiało strześcić sobie języki, gdy o której mądrozce wieść się rozeszła, że nie tylko czyta, ale i... pisze. Czyż co dziwno, że Czarnkowska „psalm swe i pieśni“ chowała w rękopiśmie i że familia nie zdobyła się na ogłoszenie ich drukiem, choć może większą wartość miały, niż tysiące wierszydeł epoki makaronicznej męzkiego wyrobu, tysiące fabrykatów okolicznościowych, pod któremi aż jęczały prasy licznych w kraju *librarij*, gdzie „księgi wybijano.“

Nie należy dziwić się praojcom naszym, bo i gdzie indziej nie lepiej było. W każdej literaturze znajdziemy przykłady szyderstwa z twórczości autorskiej u kobiet. Czyż nie najbardziej postępowy naród, Anglicy, wynalazł ów zabójczy epitet „błękitnej pończochy“ na uczenie kobiety, co się nie boi walać palców w atramentcie? Uznanie praw niewiasty do działalności literackiej nie obeszło się bez opozycji nawet ze strony ludzi, od których tego najmniej spodziewać się należało. Ileżto aforyzmów tego rodzaju możnaby zebrać już z naszego oświeconego, wolnego od przesądów wieku! Zapewne dla popisania się z dowcipem Alfonsa Karr nie waha się powiedzieć: „Kobieta pisząca podwójnie błędzi: powiększa ilość książek, a zmniejsza liczbę kobiet.“ Któżby się spodziewał, aby umysł tak jasny i liberalny, jakim szczylił się Libelt, szydził dziwnie z autorstwa kobiecego w „Humorze i Prawdzie“ i to wtedy, gdy entuzjastki prawdziwym talentem i podniosłością dażeń swych zdobyły uznanie dla praw kobiety do pióra u wszystkich szlachetniejszych mężczyzn! „Jak dawniej na Łysą górę—mówi Libelt—tak teraz na Parnas kobiety się wybierają; wtenczas przynajmniej jeździły nocą, a dziś dni całe i nocę na tej podróży trawią.“ Nie tak dawno jeszcze, gdy Karolina Świetla wystąpiła ze swemi powiastkami ludowymi, które stanowią niespożyta chlubę literatury czeskiej; znajomi jej męża, ludzie ze sfery intelligentnej, radzili mu, aby dla małżonki swej założył sklepik jaki, tym sposobem będzie korzystniej czas spędzać, sprzedając miotły i wiązki drzewa, aniżeli oddając się pracy literackiej.

Nie należy wszelako pomijać, tego, iż i u nas w przeszłości były umysły, które przesądów tych nie dzieliły i pragnęły, aby kobiety kształciły swój umysł i uprawiały talent wrodzony. Jan z Koszyczek, tłumacz starych romanów Marcholta i Siedmiu Mędrców, oraz Baltazar Opeć, przekładacz Żywota Chrystusa Pana, napisanego

przez św. Bonawenturę, prace swoje uwadze kobiet polecał. Andrzej Glaber z Kobylina, przypisując dzieło swe „Problemata Aristotelis” (Kra-ków 1535) Jadwidze z Kościelca, kasztelanca żarnowskiej mówi: „Między innymi przyczyna-mi, wielmożna a bardzo sławna gospodze, przez mężowie, swoich przodków naśladowując, tak usta-wili i pilno tego strzegą, aby białe głowy pisma się nie uczyły i ksiąg żadnych, co się tycze bie-głości a wyćwiczenia rozumu nie czytały: ta jest jedna przyczyna, iż oni, chociaż inne wymówki mają, wszakoż więcej to czynią z niejakiej za-zdrości.”—Czyż to zdanie daleko odbiega od te-go, co owiele później Goethe napisał? „Szydzą nielitościwie, nietylko z dam pedantek, ale na-wet i z tych, które starają się pozyskać wiado-mości realne i użyteczne. niesprawiedliwości tej nie można wytłómaczyć inaczej, chyba tylko mi-łością własną mężczyzn, którzy bezwątpienia pragną oszczędzić głupcom i nieukom nieprzyje-mności rumienienia się za swą głupotę wobec ko-biety.” (Wilhelm Meister).

Humanizm istotnie postawił jako ideał niewia-sty matronę starożytną, pilną sług i kądzieli.— słynne kobiety wykształcone i dowcipne były he-terami — ale z drugiej strony w reminiscencyach klasycznych znajdowało się wspomnienie o poet-kach antycznych, dwóch Safonach, „Korynnie” i rzymskiej „Sulpicyi”. Dla umysłów szlachetniej-szych i głębszych wystarczało to, aby godzić je z idea niewiasty, niezagrzebującej przyrodzone-go talentu dla względów ciasnej etyki owocze-snej. Taki humanista, jak Jan Kochanowski, roz-umiał to doskonale, dbając tyle o sąd swej „Han-ny” co do dzieł swoich.

Hanno, tobie gwoli śpiewam,
Zkąd jeśli twą łaskę miewam,
Przeszedłem już Amphiona
I lutnistę Aryona.

Jakże ten wielki poeta cieszył się, widząc za-rodki daru poetyckiego w dziecinie swej, Orszuli, jakże poił się słodką nadzieją, że z tej „uciesznej śpiewaczki” wyrosnie „Safo słowieńska”, na któ-rą spadnie nietylko jego „cząsteczka ziemieńska”, ale i „lutnia dziedzicznym prawem”! Gdyby Orszula wychowała się była i spełniła nadzieje oj-cowskie, zaiste, będąc pierwszą poetką polską, miałaby była wielkie ułatwienie w tradycyi rodu Kochanowskich, który wydał aż czterech poetów, i w powadze swego nazwiska u narodu. Zaiste, przykład kobiety piszącej, z takiego wyszłej do-mu, byłby łatwiej może pogodził praocjów na-szych z idea kobiety, która, namaszczone na nie-powszednie zjawisko, nie zamyka się w ciasnym kole obowiązków powszednich, jakie wystarczają tyłu niewiastom, co nie otrzymały owego nama-szczenia.

Za większem, niż naówczas było we zwyczaj-u uznaniem praw niewiasty, przemawia śladem Włocha Castiglione, Łukasz Górnicki w „Dwo-rzaninie”; o autorstwie niewieścim wprost nie wspomina, ale mówi: „iż dwornej pani ku przyro-dzonemu baczeniu nabytego z księgi rozumu po-trzeba. A przeto ma czytać, ma jaką muzykę przystojną jej płci umieć dla uczciwej zabawy” (Księga III). O wpływie kobiet na literaturę i sztukę, powiada w te słowa: „A i te miłe a kro-tochwilne zabawy zginąć-by musiały, by nie bia-łogłowy. Albowiem ktoby się muzyki, ktoby się tańca uczył, by nie dla upodobania białym głó-wom? kto wirsz, abo rym pisał, by nie dlatego, iżby affekt swój, który za łaską, abo nielaską białej głowie uroście, nim wyraził? Siła poet (tak) greckich i łacińskich nie mieli byśmy byli, by byli poetowie wysoce sobie białychgłów nie wa-żyli. I teraz, ile się tego na każdy dzień z mą-drych głów rodzi, tyleśmy za to enocie, piękności, obyczajom białychgłów powinni; bo na tym poe-ta pospolicie jako na gruncie wirsz (tak) swój sadzi”.

Takich przytoczeń dałoby się znaleźć więcej jeszcze; są one tem cenniejsze, im bardziej odbi-jają od ciemnego tła przesądów owoczesnych, co do dziś dnia jeszcze wygasnąć całkowicie nie

zdołały może w części z winy tych, którym na owem wygaśnięciu najwięcej zależy.

Bronisław Grabowski.

PODCZASZANKA.

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI

napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński.

(Dalszy ciąg).

III.

Dąbrowski nie był przyzwyczajony być długo bezczynnym: to też jeszcze nie przeminęły chwile uniesienia i entazyzmu, kiedy się rzucił z ca-łą energią do organizowania korpusu posiłkowego. Wspólnie z Wybickim pracowali nieznużenie, wy-dając odezwy, zachęcające do zaciągów i ofiar, po-wołujące znamienitych obywateli do współdziałania w pracy przekształcenia władz krajowych, admini-stracji, również jak gromadzenia żywności dla zbli-żającej się armii Napoleona. Niezrównany zapał, jaki opanował ludność dawnej Wielkopolski i część wolnego od wojsk pruskich Mazowsza po przy-byciu Dąbrowskiego i wyrzuceniu pozostałych wojsk nieprzyjacielskich, przez ruchawki Skór-zewskiego, pułkownika Dąbrowskiego (herbu Ra-wicz) i Lipskiego, za granicę Księstwa, ten zapał powtarzam, jaki przeniknął wszystkie warstwy ludności, był wyższym nad wszelkie opisy. Co dotąd chroniło się na obczyźnie pod skrawione rozdar-te kulami sztandary, teraz unosiło się nad krajem, jak duch Boży nad chaosem w pierwszym dniu stworzenia i brzmiało potężnie na całym obszarze Wielkopolski i Mazowsza, a każda zwrotka, każdy wiersz nawet, tworzył szwadrony, pułki, dyszące chęcią oporu i walki. Nie dziw więc, że w takich chwilach podniosłego nastroju, dążyli rażno ochotnicy pod posiłkowe sztandary; że Dąbrowski miał dużo do pracy, a na ręce pana Celestyna Sokolnickiego, którego generał mianował kommisarzem do zbierania składek, płynęły hojne ofiary, nietylko z pieniędzy, ale i z naj-droższych pamiątek rodzinnych, klejnotów, pereł, lub srebro stołowych i innych przedmiotów war-tościowych. Prócz gotówki i darów, wszystkie gościńce zapchane były czterokonnymi wozami, ciągnącymi za sobą nieprzerwanie olbrzymim szeregiem, który zdawało się, że się nigdy nie zakończy. Były to dostawy zboża, owsa, paszy i słomy dla koni, chleb, sukno na mundury, trans-porty koni, bydła, jakie ofiarności obywatelska stawiała do rozporządzenia generałowi Dą-browskiemu i Wybickiemu, w celu przyspiesze-nia organizacji posiłkowego korpusu, tudzież przygotowania zapasowych magazynów dla nad-chodzących wojsk cesarza Napoleona, na którego powitanie wyjechała do Berlina deputacja z Księ-stwa Poznańskiego, pod przewodnictwem zacne-go wojewody Działyńskiego, którą, prócz, niego składali: Biernacki, generał kawalerji, Sucho-rzewski, generał piechoty, Walichnowski, Umiń-ski i Lipski.

Entuzjazm obywateli poznańskich doszedł do kul-minacyjnego punktu, kiedy Dąbrowski otrzymał od Działyńskiego pomyślnie wiadomości o posłu-chaniu deputacji u cesarza, mianowicie w liście z d. 19 Listopada, który w licznych odpisach krawał ówczesnie po kraju. Jako rzecz mało znaną, przytaczamy ten historyczny dokument dosłownie, oile na to pozwalają niezależne od pi-szącego warunki:

„J. W. Generale! 1). Deputacja z grona obywateli w Poznaniu zebranych, wysłała nas do Najjaśniejszego Cesarza do Berlina, zjehawszy

w liczbie 9 członków 1), odebrała rozkaz znajdo-wać się dnia dzisiejszego na pokojach o godzinie 9-ej z rana. Audycya ta do której nas Cesarz przy-puścić raczył, była najświetniejsza. Minister interesów zagranicznych, X. Benewentu, wpro-wadziwszy nas przez salę marszałków, w której grenadierowie gwardji cesarskiej 340 chorągwi zdobytych na Prusakach trzymali, wprowadzili nas do gabinetu cesarza, gdzie prócz niego nikt nie był, jak książe Murat, minister interesów zagranicznych i wojny i dwóch marszałków. Po mojej mowie, która JWPanu jest wiadoma, ce-sarz, mówiąc blisko kwadransa, najłaskawiej o-świadczył, że skoro 30 do 40 tysięcy ludzi pod broń zbierzemy, Independencya... w Warszawie ogłosi, i tę skoro ogłosi, nikt jej wzruszyć nie zdoła. Niektóre ułamki z mowy cesarskiej, któ-re pamiętać mogliśmy, mam honor przyłączyć. Widzisz JWPan, że największy pośpiech w ufor-mowaniu siły zbrojnej, nie odbicie jest potrzebny. Zdaje się przeto, że niezwłocznie do wszystkich departamentów, zkąd Prusacy wystąpiłi, posłać-by potrzeba dla zebrania ludzi, nie zapominając na-dewszystko o Prusach Zachodnich, gdyż Gdańsk i Grudziądz wkrótce będzie w rękach Francu-zów, co mamy z ust samego cesarza. Po naszej audycyi deputacja od senatu francuzkiego po-dobną miała i chorągwie te jej były oddane. Mam honor pisać się JWP. generała sługą

Działyński.”

Nie przytaczamy wspomnianych w liście „ułam-ków” mowy Napoleona, jak wiemy bowiem z dal-szego przebiegu wypadków, świetne obietnice autokraty nie spełniły się nigdy, a jeżeli poda-liśmy list powyższy, uczyniliśmy to dla zachowa-nia na później tej cennej pamiątki, dowodzącej niezbitcie, jak ów wielki geniusz starał się zjednać Polaków, jak owym przeprychem, temi 340 cho-rągwiemi zdobytymi na Prusakach, chciał depu-tacją olśnić blaskiem niezwykłej potęgi swo-jego oręża.

Dąbrowski nie potrzebował, zaiste, zachęty do szybszego działania, gdyż, jak wspomnieliśmy, nie lubiał zalegać pola, ani być bezczynnym. To też organizacja korpusu szła szybko; gromadzące się hufce ochotników, opatrzone w mundury i broń dostarczoną przez marszałka Davoust'a, (który wkroczył do Poznania 9-go Listopada na czele swego korpusu), uczyły się obrotów i mustry pod kierunkiem starszych weteranów.

Tymczasem, gdy się to dzieje w Poznańskiem, odbywały się na bezmiernej arenie bojowej ruchy olbrzymich mas armii francuzkiej, któremi kiero-wał, jak biegły gracz na szachownicy, geniusz wojenny ze stolicy pruskiej. Głównym punktem, na który kierowała się cała operacya strategicz-na była Warszawa, jak dotąd, zajęta jeszcze przez Prusaków. W tym celu zbliżały się wojska lini-owe i gwardye cesarskie pod Oudinot'em, ku naszym granicom. Davoust zajął Poznań, Ney szedł z swoim korpusem na Toruń, marszałek Au-gereau ciągnął na czele dwóch dywizji przez Landsberg, Driesen, Piłę (Schneidemühle) i Na-klę wzdłuż kanału łączącego Noteć z Wisłą ku Bydgoszczy, marszałek zaś Lannes przez Szczecin Starygród, Koronowo (Deutsch-Krone) flanko-wał pochod wojsk marszałków Davoust'a i Au-gereau.

Napoleon polecił opanowanie Warszawy Da-voust'owi i Muratowi. Tym końcem wyruszył pierwszy 16-go Listopada z Poznania, poprzedza-ny przez Murat'a na czele świetnej jazdy i cią-gnął na Sempolno, Kłodawę, Kutno, Sochaczew i Błonie, wyprowadził pułk dragonów do Ko-wala nad Wisłą, aby podać rękę marszałkom Lannes i Augereau. Ostatni dwaj mieli rozkaz iść w górę Wisły i prawem skrzydłem ciągnąć z Bydgoszczy na Inowrocław, Brześć, Kowale, koło zajętego przez Prusaków Torunia i złączyć się z Davoustem, tworząc tym sposobem lewe jego skrzydło. Nie będziemy się dłużej zastana-wiać nad umiejętną kombinacyą Napoleona, rzut oka na kartę da przybliżone wyobrażenie o tym

1) Ze współczesnego rękopisu, którego pisownią zacho-wujemy.

1) Nie wiem dlaczego Działyński mówi o dziewięciu człon-kach deputacji, gdyż pomimo starannego poszukiwania wyszedzi-łem tylko siedmiu, których nazwiska przytoczyłem wyżej.

planie świetnym, jaki powziął cesarz, a który go zaprowadził na pola Frydlandu, nadmienimy tylko, że plan ten, tak obmyślany głęboko, paraliżował zupełnie działania sprzymierzonych armii, ubezwładniając korpus pruski, który zostawał pod komendą walecznego generała Lestocq'a, przyjaciela i kolegi szkolnego generała Dąbrowskiego, jeszcze z czasów saskich¹⁾. Wobec przemagających sił Napoleona, wobec rozbitych w puch i samopas się błakających oddziałów swego wojska, nie byli w stanie Prusacy utrzymać Warszawy; 27-go Listopada opuściła załoga pruska stolicę, a „wzór rządów w podbitych prowincjach²⁾”, gubernator Köhler, uykając z Warszawy, oddał klucze i miasto pod opiekę w najlepsze rozbawionemu księciu Józefowi, z rozkazu samego króla Fryderyka.

Tymczasem Napoleon, który ruchami armii kierował dotychczas z Berlina, przybył *incognito* do Poznania 28 Listopada w nocy. Na drugi dzień zaraz nastąpiły posłuchania znamienitszych osób podług listy, którą Wybicki doręczył marszałkowi pałacowemu księciu Frioul-Duroc. O wyznaczonej godzinie przedstawiło się najpierw duchowieństwo, po niem kommissya wojewódzka z naszym podczaszym Ksawerym Chłapowskim na czele, następnie rycerstwo, które wiódł Celestyn Sokolnicki i w imieniu szlachty miał piękną przemowę, w końcu reprezentacya miasta, którego prezydent składał klucze i hołd cesarzowi. Dąbrowski i Wybicki stali przy boku cesarza, który z nimi nader uprzejmie rozmawiał, a kiedy wieczorem nadeszła wiadomość o zajęciu Warszawy przez wojska Murat'a, uradowany Napoleon odwrócił się do naszego wodza, przepraszając liczny orszak dam z wojewódziną Działyńską na przdzie. Deputacya dam usunęła się, a Napoleon szepnął Dąbrowskiemu: „Warszawa jest w moim ręku“ i odczytał mu półgłosem raportu, oraz proklamacya księcia Józefa do obywateli, jaką tenże ogłosił po opuszczeniu Warszawy przez generała Köhlera³⁾.

W krótkości przebiegniemy dalsze wypadki, wchodzące bliżej w zakres naszej pracy. Cesarz Napoleon za radą naszego generała, zwołał polspolite ruszenie szlachty, które pod Łowiczem miało się pod naczelnictwem Dąbrowskiego zorganizować w wojsko liniowe, a kiedy Wybicki udał się do Warszawy w celu ustanowienia władz krajowych i formacyi wojska pod księciem Józefem, Dąbrowski, zostawszy przy boku cesarza, nie zalegał pola.

Z podziwienia godną ruchliwością, oprócz pamięci własnym korpusie, o jego wyćwiczeniu wojskowym i potrzebach codziennych, zajmował się jeszcze zakupywaniem zboża i furazu dla armii francuzkiej, dostarczaniem sukna na umundowanie, zakładał szpitale i magazyny, — słowem: zajmował się wszystkim, co mogło w danych warunkach wytworzyć w środku Polski olbrzymi etap wielkiej armii, który, jakkolwiek nie ufortyfikowany, jak jemu podobne w Spandau albo Wittenberdze, miał za obronę potężniejszą twierdzę, bo meztwo i wierność Wielkopolan, którzy z całym poświęceniem oddali się sprawie Napoleona i sprawie ojczystej.

Tymczasem zbliżały się wypadki groźne; nad Polską zawisły ciężarne chmury, mające się niebawem skropić w deszcz krwawy i zalać krwią i ogniem nieszczęsną krainę. Po zdobyciu Torunia wyjechał Napoleon z Poznania do Warszawy i jeszcze z Kutna, którądy jechał do stolicy, zawiązał Dąbrowskiego po świeże rozkazy, aby pomagał w organizacyi wojska świeżo mianowanemu „dyrektorem wojny”, księciu Józefowi Poniatowskiemu. W Warszawie, dzięki pomocy

doświadczonego wodza i przy ogólnej ofiarności obywateli, organizacya szła szybko, zwłaszcza, że Dąbrowski powołał z Włoch swoich legionistów „północnych” na officerów i instruktorów—tych dzielnych wiarusów, którzy się zaprawiali w bojach, pod takimi wodzami, jak Bonaparte, Championnet, Moreau, Kleber, Davoust, Kniaziewicz i nasz waleczny generał. W pałacu Kossowskich ćwiczyła się młodzież w wojennem rzemiośle; między officerami i instruktorami spotykamy ludzi chlubnie w boju odznaczonych, a mianowicie: generałów Biegańskiego, Hornowskiego, Kosseckiego, Żółtowskiego, Stuarta i smutnej później pamięci Roźnieckiego; z officerów sztabowych: Kamińskiego Jana, Krasieńskiego Izidora, Górskiego Antoniego, Żymirskiego, Grabowskiego, Bogusławskiego, Redla, Sierawskiego, Kamienieckiego i Kęszyckiego—nie dziw więc, że przy takich przewodnikach stawały dzielne zastępy, które później we wszystkich bojach Odyssei Napoleońskiej odkryły się nieśmiertelną sławą. Ale opuśmy raczej przygotowania wojenne, zostawmy Napoleona z armią, maszerującą do Okunina nad Narwią, zwyciężając nieprzyjaciół pod Czarnowem i Pomiechowem 23 Grudnia; zapomnijmy o gwarze wojennym, o odgłosie przytłumionym bębnow i przeciągłym dźwięku sygnałowych trąbek; rzucmy zasłonę na tę całą wrzawę obozową, i udajmy się do Śmigła, w ten cichy, wiejski zakątek, którego mieszkańcy, dalecy byli od pola walki przestrzenia, ale bliżcy sercem.

Smutno było i cicho w starożytnym pałacu w Śmiglu. Od owego pamiętnego balu w Poznaniu, na którym podczaszanka Chłapowska poznała generała Henryka, kiedy jej przyrzekł uwolnienie brata, minęło siedm tygodni, a dotąd nie miała rodzina Chłapowskich o losie Stanisława żadnych wiadomości. Pan Ksawery, jako członek kommissyi wojewódzkiej, musiał być bezustannie czynnym i przesiadywać w Poznaniu, rzadko kiedy donosząc kobietom o sobie, bo taki był nawal zajęcia, taki ogrom pracy, że nawet i czasu nie starczyło, aby pisać listy. Zdała tylko dochodziły głucho wieści o rozgrywających się na polu walki wypadkach; słyszano, że generał Dąbrowski ciągle przy boku cesarza, innym razem, że z Poznania do stolicy wyprawionym został, to znów, że gromadzi pod Łowiczem hufce: stracono więc nadzieję uwolnienia podczaszycy, sądząc powierzchownie, że przy takim zajęciu czasu, przy ciągłej prawie zmianie miejsca, w bezustannym ruchu, bez chwili spokoju, ani odpoczynku, przy innych ważniejszych myślach na głowie, mógł generał zupełnie zapomnieć o balu o podczaszance i o notatce w swoim pugilaresie. Cóż bowiem łatwiejszego dla człowieka, który miał tyle tysięcy ludzi na głowie, tyle projektów i planów w umyśle względem całego narodu, — obciążonego tylu rozlicznymi interesami, jak zapomnieć o jednej, jedynej istocie? Podczaszy Chłapowski, który z Poznania do Śmigła przyjechał, chociaż rozpromieniony powodzeniem sprawy, to przecież unikał rozmów z kobietami, kryjąc głęboki smutek i odwracając oczy, w których łza błyszczała. I on bowiem nie wiedział nic o losach syna, a jakkolwiek widywał generała na sessjach, to przecież wobec ważności interesów publicznych nie śmiał występować z osobistą sprawą. Zdobył się nareszcie na tyle odwagi, że poszedł do kwatery generała, by go zapytać o los Stanisława, lecz, niestety, przybył za późno, generał wyjechał z pośpiechem do Warszawy, na rozkaz cesarza.

Smutną więc była rodzina Chłapowskich, kiedy się zbliżyły Święta Bożego Narodzenia, te święta wesołe, białą śniegu odziane sukienką, które tak radośnie obchodzimy wszyscy, kiedy się kupimy w gronie rodziny i przyjaciół, łamiąc się opłatkiem z życzeniem „Dosiego Roku”, ciesząc się, że „wesoły nam dzień nastał.”

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWAJ POECI.

W czasach bez poezyi mamy dwa nowe poezyi zbiory: z jednym wystąpił Wiktor Gomulicki, z drugim Bezimienny. Są to dwie siły niejednakowej treści i nierównej miary. Gomulicki jest jeszcze poetą w pełni działalności, Bezimienny poetą być już przestaje. Tam bije luna życia i drży powietrze palające od uczuć; tu, jakby w księżycowym krajobrazie, sterczą tylko szczyty myśli, nieożywione, zastygłe, czasem kryształami migoczące. Poezje Gomulickiego są śpiewem jego duszy—mniej lub więcej harmonijnym i przez samą melodyą swą pięknym;—poezje Bezimiennego mają swe źródło w umysłowości, w chwilowych jej stanach. Może i taka poezya myśli być prawem dziecięciem twórczości, ale nie będzie nigdy jej najulubieńszą córą, a na biesiadę bogów nieśmiertelnych, jak owych biesiadników z Ewangelii, wpuszczą ją wtedy dopiero, gdy przyjdzie ubrana w złociste, jaśniejące szaty. Może się i rozum zapalić, może w pięknych formach mądre i szlachetne myśli odlewać; ale łatwiejsze zawsze będą drogi i wdzięczniejsze pola dla poety rozporządzającego jeszcze w pełni temi środkami, któreśmy właśnie rozumowi przeciwstawiać zwykli. Prawdziwej poezyi kazano wzruszać i unosić. Roznosicielka tęsknot do świata ideałów zadania swego spełnić-by nie mogła, bez uczucia i fantazyi. Chcąc być sobą, musi z serca jednego człowieka wyjść i w serca innych ludzi wejść; i ta właśnie zdolność do uczuciowej wszechobecności jest jej istotą i potęgą. Wdzięczni za rozkosz odczucia, chętnie wywodzimy ród jej zpoza świata, choć się ona na świecie rodzi i rzeczywistości pierś ssie. Można zimnym skalpelem pozytywizmu krajać nawet aniołów; ale dla najpozytywniejszej nawet krytyki, po najdłuższem wazeniu i odważaniu, organem poezyi pozostanie w człowieku to, co my, ludzie nieuczenni i niepozytywni, wraz z ogromem prostactków w Ludzkości, nazywamy sercem. Dopiero, gdy z serca wybiegnie prąd gorący ku dostrzeżonemu lub w umyśle wskrzeszonemu zjawisku, ocknąc się też może wyobraźnia, aby do swych królewskich pałaców dzieci ciemnego padło porywać. Rozum daje poznać tylko rozkosze prawdy, dla której nawet najżywniejsza istota, człowiek, rzeczą być musi. Po gorący oddech życia do poezyi iść potrzeba. Tu nas właśnie stawia Gomulicki.

Zbiór jego poezyi¹⁾ przynosi plon lat kilkunastu, spędzonych prawie bez przerwy w Warszawie. Ze starym grodem, a ludźmi nowymi, poeta żył się tak ściśle, że życie Warszawy daje mu podkład do wielu natchnień artystycznych. Przyczyna tego prosta: gdzie było życie, tam musi być i poezya; wrażeń swoich i uczuć nie bierze Gomulicki z książek; co pomyślał, jako poeta, tego pierwiej doznać musiał, jako człowiek; i w tem jest jego legitymacya. Można od innych brać postacie myśli, często mimowolnie, bezwiednie; pomyśleć, odczuć potrzeba zawsze samemu. Jak sztuczne ognie nie spala, tak sztuczne łzy nie wzruszą. Trzeba mieć kolce rzeczywistości na skroniach, aby z rau krew żywa pociekła. Najwyższą zasługą poetów nie jest ten talent, którym błyszcza, ale to życie, z którym się najczęściej przed światem kryją—życie złe, lub dobre, a pamiętajmy, że doskonałego niema. Pisząc niedgdy okolicznościowo o Dancie, posłałem poetom narzekającym na brak natchnień słowo: „Żyjcie!” Takiemsamem słowem, któremu lepiej byłoby na początku zbioru, wita Gomulicki w samym końcu „dzieci smutne, dzieci dumne”—poetę i artystę:

Chcesz zwyciężyć, dzieci smutne,
Nim cię śmierci zetnie sierp?
Rzuć miotania bałamutne:
Dużo kochaj, dużo cierp!

1) Ojciec generała pułkownik Lestocq, w służbie elektora saskiego, był wielkim przyjacielem ojca Dąbrowskiego, Jana, Michała, także pułkownika kawalerji saskiej. Kiedy młodziutkiego Henryka sprowadził ojciec do siebie do Bischofswerde, od pułkownikostwa Kępińskich z Galicji, udzielał mu pułkownik Lestocq nauk militarynych, na równi ze swoim synem, późniejszym generałem, o którym tu mowa.

2) Pamiętniki Kajetana Kozmiana. Oddział II, str. 3.

3) Pamiętniki Józefa Wybickiego, senatora i wojewody Królestwa Polskiego Lwów Gub ynowicz i Schmidt str. 212.

1) Poezje Wiktora Gomulickiego. Warszawa nakładem księgarni A. Gruszeckiego, str. 284, in 16.

Dużo też sam kochał i cierpiał, a zbiór ten stanowi rodzaj akt jego życia uczuciowego. Egotycznych wszakże wierszy w znaczeniu rozmów i walk z samym sobą i zachwyty dla samego siebie — w tej sporej książce znajdujemy niewiele. Może ich jest więcej, ale zostały w domu. Wiek zachwyty osobistych już przemija; wiek rozdzwieku może jeszcze nie nadszedł, a życzyć potrzeba poecie, aby dla ducha jego nie nastąpił nigdy. Jest jeszcze jedna przyczyna ograniczająca w Gomulickim egotyzm: świat, ludzie, natura zajmują poetę więcej, niż własna jego osobistość. To nas dla niego szczególnie zjednywa, to zarazem wskazuje, iż uczuciowość swoją umiał podnieść w górę, i przez to samo już rozszerzył sobie pole natchnień i tematów poetycznych. Gomulicki żywo współczuje z ludzkością. Nic, co ludzkiego, obcem mu nie jest. Wszelkie to współczucie, ta sympatya do ludzi i społeczeństwa, — odzywająca się przez odbicie ironią nad tem, co przeczy prawom jednostki i ogółu, — trzyma się więcej sfery tego życia, które do pewnego stopnia nazwać można rodzajowem. W nazwie tej zamknąć pragniemy pojęcie owej wiekuiściej duchowości człowieka gromadnego, która się stale w każdym nowym pokoleniu powtarza, według jednego typu, snując się jednostajnie około trudu i głodu, łez i radości, szczęścia i niedoli powszedniej. W wyższą sferę poeta nie wkracza.

Owa powszedniość, biorąca serce ludzkie na próby, wiekuiście teżsame, lub darząca je temsamem wiecznie zadowoleniem — przez głębię indywidualności, które ją odczuwają, sama głębszą się staje i traci swój poziomy charakter. Tragedya, liryka, epopeja kielkują już w tej powszedniości, tak szarej i lichej. Poeta potrzebuje tylko delikatnym uchem wsłuchać się, aby w prozie pochwycić ton poezji. Ta delikatność słuchu jest istotą poetyczności. Ostatecznie, dla poezji świat to człowiek, i treścią nawet martwej natury, mającej żyć w poezji, jest człowiek, są życia człowieczego stosunki, siła talentu wniesione, tam, gdzie ich w rzeczywistości niema. Tym sposobem poeta świat wyolbrzymia i pogłębia, nurzając go w większym cieniu lub jaśniejszym oblewając światłem — według nastroju swego ducha. Dobrzy są w poezji i pesymiści i optymiści, źli są tylko ludzie płytko czujący i niezdolni do żywego chwytania przejawów ducha i formy i przetwarzania ich w silne barwne obrazy, lub piękne postacie myśli. Kto się rozmaże w sobie, ten stracony; im kto szersze koła miłości i cierpienia zakresli, ten i głębiej rozumem sięgnie i wyżej też jako poeta stanie.

Taine, fanatyczny wyznawca teorii ośrodków, uważa wszelki talent, za wytwór otoczenia, życia, obyczajów, prądów umysłowych danej epoki i nie zostawia na indywidualność nic, prócz wyższej pobudliwości wyobraźni. Wspólnym ojcem wszystkich ma być czas, wiek, w którym wzrastali i dojrzewali. Jest to jednostronność fałszująca wyrozumienie istoty natchnień artystycznych, chociażby tylko w sposób ujemny przez wskazanie właściwe tego, czem natchnienie nie jest i czem talent być nie może. Do pewnego jednak stopnia każdy nawet najlichszy robaczek w ludzkości odbić na sobie musi, wiek, w którym żyje. Są żądze, potrzeby i marzenia wszystkich wieków i są żądze, potrzeby i marzenia szczególnych chwil dziejowych. Przemaganie w samowiedzy ogólnej jednych spostrzeżeń i idei nad drugimi, ustosunkowywanie się ich wzajemnie wyciska charakterystyczne znamiona na umysłowości powszechnej narodu lub ludzkości. Na tę umysłowość składa się poezja zarówno, jak i nauka, ścisła, filozofia i polityka bieżąca i nawzajem wraz z niemi wszystkimi z tej umysłowości czerpie. Jest to ciągła endosmoza i exosmoza, ustawiczna wymiana zjawisk i myśli — wzajemność usług i solidarność w obowiązkach. Jednostka żyje z ogółu i nawzajem ogół żyje z jednostki. Dla zadań, marzeń, bólów wieku swego nie może nikt być obojętnym. Jedni przez nienawiść, drudzy przez miłość, wszyscy zajmują się ich rozwiązaniem. Rozwiązuje je i poeta, na swój sposób w pięknych wierszach, jeśli jest prawdziwym poetą.

Dziś niedola maluczkich zajmuje dodatnio wszystkie podniosłe lub silniejsze umysły.

Różne są postacie i różne stopnie zagłębiania się myśli w tę otchłań: poezja ją odczuwa i, raz w ruch wprawiona twórczość pierwotnemu popędowi już dotrzymuje wiary. To współczucie dla pracy ciężkiej, a beznadziejnej, mającej przed sobą tylko smrok wieczny, silnie się w Gomulickim odzywa. Na piękny krajobraz spada odrazu mgła brzydoty, gdy widmo nędzy po nim przeciągnie:

Jedno spojrzenie głodnego człowieka
Zmąciło ciszę świętującej ziemi,
Gniotąc ją naksztalt trumiennego wieka.

Róbmy wszystko, wysylajmy się na cuda cywilizacji, „lecz wprzód — niech głodnych wpośród nas nie będzie.”

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Lutym 1887 r.

Szczególny karnawał i szczególne do niego powody. — Elite balle. — Concordia — B i polski. — Wieczory towarzyskie. — Hece wielkie i małe. — Sportfest. — Dwudziesty wiek. — Bal na okręcie. — Lumpenba i Przewrotny świat. — Konserwy. — Nie ma postu — Farberausch.

? Na temat karnawału i mody będą ludzie zawsze pisać, że głupstwo jest nieśmiertelne, że ludzkość jest niepoprawną i t. p. Zdaje się jednak, że narzekania takie nigdy natury ludzkiej i obyczajów nie zmienia. A już co do karnawału, to nie ulega wątpliwości, że im gorsze czasy, tem karnawał huczniejszy, szal zapamiętałszy, zbytki większe. Sprawdziło się to tego roku w Wiedniu. Od lat dziesięciu nie było już takiego szalu i takiej pustoty, a dlaczego? bo czasy coraz gorsze. Jest to paradok, sprzeczność, ale takie sprzeczności godzą się z naturą ludzką. Tutaj powiedziano sobie: wszystko źle idzie i niema widoków, żeby szło lepiej, ogólny zastój, wszyscy narzekają, a poradzić nikt nie może; co gorsza, zanosi się na wojnę, może nie na jedną, to tak samo, jakby miał być koniec świata; kto wie, czy zostanie kamień na kamieniu i kto przeżyje katastrofy, bo wszyscy będą powołani, wspólne ruszenie, landszturm... Więc lamenty, smutki; oszczędności na nic się nie zdadzą: przeciwnie, społeczeństwo w nich do reszty zdzadzi. Toć lepiej zabawić się, użyć, zapomnieć o biedach, bo jak przyjdą katastrofy, to wszystko jedno, czy będziemy trzeźwi, czy trochę podochoceni, a jeżeli zaś nie przyjdą, to będzie czasu dosyć na wytrzeźwienie się. Więc cały Wiedeń w takt: pohlajmy... a po swojemu, musi być i „nobel“ i „heca“. I rozbawił się cały Wiedeń bez miary, a ta ochota sama w sobie czerpała warunki trwałości. Karnawał szalony dawał wiele zarobku wszelkim rękodzielnym, przemysłem i kupcom, więc i te sfery miały dobry humor. Istotnie, gdyby wykreślić z życia stolicy zbytki i potrzeby karnawałowe, zakupna gwiazdkowe, niemniej powszechne i kosztowne, to musiałoby trzy czwarte ludności wyemigrować gdzie indziej i nie pozostałby, ani co dziesiąty sklep i warsztat. Nadto ztamtąd, gdzie było i jest źródło rozpaczliwego humoru — Galgenhumor — ztamtąd na razie przyszła pociecha. Dla przyszłej wojny — (jakiej? gdzie? tego nikt nie wie), zaczęto sprzątać mnóstwo rzeczy; więc pomnażać wagony kolejowe, wyrabiać nowe karabiny, torpedy, zamawiać mundury na zapas, namioty, mnóstwo rzeczy ze skóry i blachy, skupować zboże, mąkę, siano i t. d. — i naraz wliczonych i rozmaitych sferach pracy ludzkiej otworzył się zarobek, fabryki dymią dzień i noc, robotnikom pomnożono płacę i liczbę ich zdwojono. Prawda, że koszta te opędzane są z kieszeni ludności, lecz za pracę, towary, wyroby i płody znowu przecie czego już dawno nie było, zaczęły między ludność rozdzielać się licznie miliony. Więc jest praca, jest zarobek: to pohlajmy, tembardziej, że może jutro nie będzie już sposobności do zabawy. Z takich też szczególnych powodów wytworzył się

naturalnie, lubo się tego nikt nie spodziewał, nadzwyczajny karnawał. Swoją drogą sprzyja mu zawsze ta potrzeba towarzyskiego ruchu, zbliżenia się, obcowania, czego tu przez cały rok wcale niema i gdyby nie karnawał, toby się ludzie ze sobą wcale nie znali, prócz, oile interessa tego wygajają.

A zatem nobel i heca. Nobel to „elite-balle“, na które przychodzą i członkowie dworu cesarskiego. Są to bale: przemysłowców, Czerwonego Krzyża, Białego Krzyża, Concordii i bal polski. Na każdym szablon jednaki i patronesy na estradzie i goście wysocy, na sali tłumy, dla tańca znajduje się ledwo małe kawaleczki miejsca. Nie dla tańca też tam ludzie śpieszą, ale, żeby się nareszcie spotkać ze sobą, pokazać się, czasem porobić nowe znajomości, a z tych danych wyrastają dopiero potem wesołe małe kraenzchen, czyli zamknięte towarzystwa, w każdym hotelu, w każdej restauracji, która tylko ma jaką taką salę. Concordia, bal towarzystwa dziennikarzy i literatów, ma pewną specjalność. Jest to pańszczyzna, jarzmo, pod które muszą schylać kark przedewszystkiem te sfery, które ciągle mają z dziennikarstwem stosunki. Więc artystki i artyści, finansisci, dyplomaci, ambasadorowie. Bal ten grupuje się około primadonn z teatrów cesarskich, z dramatu, z opery i z baletu, a niemniej i z operetki. Cała sala pełna, mężczyźni, przez środek szpaler, którego przechodzą damy witane uśmiechem, niby brawem, tworzą się grupy trabantów około „gwiazd“, muzyka odgrywa świeże tańce dedykowane Concordii, przez Straussa, Millöckera i t. p. — czasem, tu i ówdzie, jakieś naiwne pary zaczynają tańczyć, zdarza się i kotylin z przyborami męczącymi, arcynudny — po północy zaczyna się sala wypróżniać, około 2-ej już światła pogaszone. Ale dochód jest bardzo znaczny i damy otrzymały karnecik, który tego roku był wyjątkowo ładny. Aktualnością w Wiedniu jest słynny papyrus arcyksięcia Rajnera zawierający w wielu starożytnych językach ogromne skarby rękopism. Concordia dała jako karnecik (z porządkiem tańców) „papyrus concordia“ książeczkę, niby na liściach roślin hieroglify, napisy, i rysunki wszystko niby egipskie, a arcy-zabawne.

Bal polski jest specjalnością zupełnie odrębną. Według zgodnej opinii panuje w nim najestetyczniejsza elegancja, a, co ważniejsza, na tym jednym balu jest towarzystwo, zabawa, tańce do rana. Oczywiście, że Polacy i Polki są może ledwo dwudziestą częścią publiczności, lecz nadają ton. Racja zaś tego balu leży w tem, że uwidoczniła się na nim zbliżenie do dworu cesarskiego, a komitet przyjmuje gościnnie w swojej sali osobno licznych gości ze sfer wyższej hierarchii, więc i z dyplomacjami. Karnecik został tego roku zastosowany do gustu wiedeńskiego, był eleganckim figlem: dyplom stwierdzający obecność na balu, dyplom na imię i nazwisko wystawiony, więc pamiątka. Oczywiście cała budowa puszek, dekoracja dyplomu, miniaturowego na pergaminie — to, jak zwykle, pomysł i praca niewyczerpanego i ulubionego artysty malarza Tadeusza Rybkowskiego. Dwie arcyksiężne i księżna Koburska otrzymały dyplomy z oryginalnym rysunkiem artysty, inne karneciki kolorowe, reprodukcyjne. Poza temi elite-balle tuziny balów wszelkich stowarzyszeń i grup: studentów, prawników, kupców, turystów, Węgrów, Rumunów, Szlązaków, kolejarzy i t. d. Na tych już się tańczy i niema dworskiej etykiety. Ekstraktem zaś usiłowań, aby wytworzyć surrogat towarzystwa były „wieczory towarzyskie“ mające ten cel, żeby zbliżyć — na czas karnawału! — sfery arystokracji, sztuki i wyższego mieszczaństwa. Te wieczory rozpoczynano przedstawieniami rozmaitemi, a popólnocy tańce. Jeden z nich urządzono jako uroczystość „patrones“ w hołdzie dla następczyni tronu, która atoli przybyć nie mogła. Na estradzie stanęło, przeszedłszy salę, 130 patrones; tam odbył się t. z. „cercle“; pełna sala przypatrywała się toaletom, potem patronesy pojechały do domu, a publiczność dopiero zaczęła tańczyć. Publiczność tutejsza bardzo zadowolona z takiego porządku; ma sposobność gapić się, a potem się bawi między sobą bez ceremonii

Ale wszystkie te bale i kraenzchen, dodawszy do nich codzienne maskarady w dwóch lokalach to jeszcze wcale nieprawdziwy, wiedeński karnawał. Ten zaczyna się tam dopiero, gdzie może być i heca, gdzie niema form szablonowych ale swoboda, fantazyja, dowcip, choćby trochę i zgrubsza. Jest to taka niezbędna, wiedeńska konieczność, że nawet jeden z „wieczorów towarzyskich“ musiano na ten sposób urządzić. Była ta noc sportu—sportfest. U nas-by się nigdzie coś podobnego nie udało, aby ludzie starsi, panie i panny przebierały się najdziwaczniej na to, by odgrywać dla publiczności pewną rolę, a dopiero potem i samemu stać się publicznością. Ale w tem heca właśnie, że różne koła i kółka grają przyjętą rolę dla siebie, bawią się tem ze swobodą, której im zazdrościć można, a gorszyć się nie należy, boć jeżeli błądzą, to dla siebie i między swoimi, a jeżeli wobec publiczności to błądzących jest takisam tłum jak i publiczności. Więc przeciagają przez salę grupy: lawn tennies, klub wioślarski, cykliści i cyklistki, balon z łodzią, sport łyżwiarski z wozem, na którym zima trzymająca w więzach trzy pory roku, w balwana ze śniegu (wety), którego publiczność rozrywa na kawałki, przejeżdża i Norwedka na saniach ciągniętych przez reny, dalej sport myśliwski historyczny i dzisiejszy, korso kwiatowe z wozem, na którym boginie i nimfy, wreszcie sport taneczny, więc wszystkie ludy od początku świata, dzikie i cywilizowane, każda grupa swoje tańce wykonywa. Na ułożenie samych tych grup potrzeba kilkuset osób, a pomyśleć: ile przygotowań, ile pomysłów! A kiedy się to wszystko odbędzie, tworzy się chaos, maskarada bez masek, ścisk, gwar, taniec—no, i kult piwa.... a wszędzie czarno od dymu cygar. Taka zabawa wyradza się w wielki jarmark; zdawałoby się, że to pomieszanie ludów, strojów, języków, a to ostatecznie tylko wybrzyk wiedeńskiego humoru—Gemüthlichkeit nazbyt swobodna. Nie jest to sala balowa, nie jest to towarzystwo, ale jakaś wielka karczma...

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Opera *Noe*, wystawionu w tym sezonie na scenie Teatru Wielkiego, jest jedyną nowością tych czasów. Głośniejszy autor „Zydówki“ i sympatyczny twórca „Carmenu“, złożyli się na tę operę. Halevy niedokończony swe dzieło przeznaczył widać na wieczne zapomnienie, lecz usłużna ręka jego zięcia wydobyła je z teki utworów pośmiertnych, uzupełniła, przeinstrumentowała, zlepiała jako tako całość i puściła w świat. Zbyt poważne talenta uczestniczyły w tej pracy, aby wolno było ją lekceważyć; poszukawszy, można odnaleźć wiele rzeczy pięknych, owianych prawdziwym artyzmem, a do tych szczęśliwszych momentów, zalicza się Finale z aktu pierwszego, tercet na żeńskie głosy i „brindisi“ Ituriela, za mało tego jednak, by całość opery uczynić zajmującą. Libretto St. Georges'a, nudne i niekonsekwentnie zbudowane, nie dopuszcza grupowania się coraz silniejszych efektów muzycznych; albowiem cały dramat jest prawie zawarty w akcie pierwszym, dalej rozwija się już tylko w sztucznych szczegółach; tak też i muzyka się ukształtowała. Akt pierwszy jeszcze najlepszy, potem coraz bardziej słabnie opera, a ostatni obraz żadnego niemal efektu nie sprawia. Obszerna muzyka baletowa Bizeta jest interesującą, oryginalną; może nawet zaoryginalną, uderzającą dziwnymi pomysłami harmonicznymi, ale przynajmniej ma swoją charakterystykę i świeżość.

Oile dyrekcya nie posiada szczęścia do nowo wystawionych oper, o tyle znów udają się jej dobrze koncerty symfoniczne; ostatnie dwa ze współudziałem pp. Zarzyckiego i Sarassatego, bardzo dobre miały powodzenie: widocznie zyskują one prawo obywatelstwa, o które tak długo się starają. Nie będziemy się rozwodzili nad grą dwóch

wyżej wymienionych artystów; zna ich dobrze nasza publiczność i zbyteczną rzeczą byłoby powtarzać nieraz już na tem miejscu wypowiedziane zdanie: uzupełniamy więc tylko wiadomości o koncertach symfonicznych, zaznaczając z programmatów te z dzieł orkiestralnych, które są tutaj mniej znanymi. Ciekawym numerem pierwszego koncertu, była „Tocata“ organowa I. S. Bacha, instrumentowana na orkiestrę przez H. Essera. Dzieło to, napisane z obliczeniem efektów organowych, mające służyć do popisu gry na tym instrumencie, a przytem wzorowo opracowane w stylu ścisłym, nie potrzebowało już rzeczywistocie rzekomego uzupełnienia za pomocą koloratury orkiestralnej, nie zyskało też na tem nic, a straciło charakterystyczną swą cechę. Takie więc przeróbki można tylko uważać za zabawki, nieprowadzące do żadnego celu. Jako dzieło czysto orkiestralne, bardzo wiele ma wdzięku powiewna kompozycya Saint Lucas'a „Le Rouet d'Omphale“: to też i wykonanie nic nie pozostawiało do życzenia.

Druga serya koncertów kameralnej muzyki, urządzanych przez konserwatorium warszawskie, również w tym czasie się odbyła. Głównymi wykonawcami byli Sarassate, Zarzycki, Schlözer, Barcewicz, Frieman i Makowski, a z ważniejszych dzieł usłyszeliśmy kwartet¹ Bethovena, trio i kwartet Schumanna, oraz sonaty Rubinsteina i Tartinięgo. Powodzenie materialne tych koncertów świadczy, iż są one sympatycznymi dla ogółu, co zapewnia istnienie ich trwale i wytwarza nowe źródło dochodu dla tej jedynej w naszym kraju instytucyi.

Towarzystwo muzyczne także ze swej strony okazuje niemalą zapobiegliwość około pomnożenia liczby swych członków, a zarazem i swych funduszów; wprawdzie oddawna nie wystawiło dzieła, któreby miało imponujące znaczenie w dziedzinie sztuki (oprócz Requiem Cherubiniego), znać jednak, że przeciwna publiczność Towarzystwa zadawalnia się obecnym kierunkiem, albowiem koncerty są wielce uczęszczane.

Ruch wydawniczy, jak zwykle u nas bojaźliwy, ostrożny, dał nam jednak kilka nowości z dzieł krajowych kompozytorów. Wydawnictwa te przeważnie podjęła firma Gebethnera i Wolffa. Najpierw więc wyszło sześć pieśni Eugeniusza Pankiewicza: dwa sonety, „Huczy woda“, „Tyś jak kwiat“, „O zmroku“, „Uśnij dziecię“.

Pan Pankiewicz bardzo starannie opracował swe utwory; znać w nich, że autor przechodził dobrą szkołę; pomysły jego są szlachetne, prowadzenie głosów prawidłowe, harmonizacyja w dobrym stylu, brak tylko równowagi w uzupełnianym stosunku akkompaniamentu względem melodyi; wady tej jednak pewnie pozbędzie się w dalszych dziełach, kierując się doświadczeniem i wytrawnością kompozytorską. Pan Piotr Mączyński wydał trzy pieśni, z których o dwóch już tutaj dawniej wzmiankowaliśmy; nie możemy się jednak powstrzymać, by jeszcze raz nie polecić naszym czytelnikom bardzo sympatycznego „Romansu wschodniego“, który stanowi prawdziwą perełkę wśród wielu utworów wokalnych ostatnimi czasy wydanych. Następne dwa numery tego małego zbiorku stanowią „Pieśń Majumy“ i „Piosnka dudarza“, obydwie również dobrze świadczące o talencie kompozytorskim autora.

Z dzieł przeznaczonych dla uczącej się młodzieży mamy odnowioną szkołę fortepianową Nowakowskiego; przeróbki tej prawie kompletnej, podjęli się p.p. Strobl i Krzyżanowski, wywiązując się z trudnego zadania najzupełniej kompetentnie. Szkoła ta zaleca się wielką starannością wydania, loicznym przeprowadzeniem stopniowanych ćwiczeń i sztuczek, a treść bogata jest zupełnie wystarczającą, jako podręcznik przy początkowej nauce gry fortepianowej. Autorowie tej szkoły starają się jeszcze uzupełnić ją przez dodanie oddzielnych wskazówek, co do dalszego wyboru sztuk i etiud.

Juljusz Statler.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Lutym 1887 r.

Ciągłe wojenne pogłoski. — Uśmierzanie chwilowe. — Zabawy karnawałowe nad morzem. — Nagła przerwa. — Trzęsienie ziemi według „gżemu“. — Skutki zabawne. — Karnawał w Paryżu. Bal u pani Adam. — Nasze panie i reklamy „Figara“. — Słowo o autorze. — Odwrotna strona medalu. — Premium Montyona w Akademii Francuskiej. — Bohaterowie cnoty. — Fakt nadzwyczajny. — Pierwsza internatka szpitali paryżkich. — Panna Klumpke i jej szkiełko pobięzno. — Dzień 24 Lutego. — Inauguracyja pomnika Ludwika Blarca. — Kraszewski w San-Remo. — Jego list najnowszy po trzęsieniu ziemi.

(Dokończenie).

Fundator, który pierwszą swęją donacyą uczynił w 1782 roku, jako *bezimienny*, później w 1820 r., zapisując znaczną część swojej fortuny, powiększył ją i rozszerzył znakomicie—tak określił przeznaczenie i cel zapisu:

„To premium ustanowione jest na korzyść biednego Francuza, który spełni czyn najcnotliwszy, w ciągu dwóch lat, poprzedzających ten rok, w którym akademia przyznać je winna corocznie.“

„Wszystkie departamenta Francyi dopuszczone są do konkursu. Nagroda może być przyznana w całości, albo podzielona na części, lub na pewną liczbę medali albo datków.“

„Cnota w gruncie—powiada p. Caro—ma przeciw sobie jedynie pewne literackie uprzedzenia“ to jest, że we Francyi uważaną jest jako nie nadającą się do powieści, jako nudna, i przasnna, jak owe sławne książeczki dla młodych panien... Ale to sądy tych, którzy sami są nudi i przalni—co zaś do instytucyi „Nagrody Cnoty“ wywołała ona zaraz od początku bardzo żywe krytyki, a na czele opponentów znalazł się, któżby przypuścił?—jeden z najrozumnijszych ludzi, swojego czasu, Chamfort. Krytyka jego opiera się na tem, że fundator, zwracając się jedynie do ludzi biednych, zdaje się zaprzeczać cnoty ludziom zamożnym, a wynagradzając ją, zdaje się ją kupować.—„Czy płacisz? czy czcisz cnotę?—pyta się uszczypliwie. Jeżeli ją czcisz, nie upadlajże jej, kładąc wyżej pieniądze, niż cnotę.“

Wszystkie te krytyki nie dokazały przecież tego, aby tak zacna i piękna myśl przestała być zacną i piękną. Staranie, z jakim Akademia roztrząsa wszystko, cokolwiek się tyczy tej kwestyi, rozgłos, jaki daje szlachetnym czynom, cnotliwemu życiu, pięknym postępkom, więcej mają ceny i żywiej pobudzają do dobrych uczynków, aniżeli sama nagroda. Zresztą zdanie sprawy przez dyrektora, to jest prezesa dorocznego akademii, uważają tutaj, jako jeden z najzaszczytniejszych przywilejów tej funkcyi i przesowie z zadania swego wywiązują się corocznie nietylko z talentem, ale z prawdziwym zamiłowaniem.

Premiowanych w tym roku znalazły się 43 osoby. Zasługuje to na szczególną naszą uwagę, że w tej liczbie kobiety największe zajmują miejsce. Jedynie bowiem sześciu mężczyzn znajdujemy w tym spisie wybranych, i to jeszcze dwóch figuruje wspólnie z żonami swemi. Piękna to zaiste zasługa i piękne odznaczenie dla tych, którym przyznano łaskawie miano płci słabej!

Nie będę tu wam wyliczał, tych skromnych bohaterów, obowiązków i cnoty. Nie będę wam mówił obszernie o księdzu proboszczu Lemoine z Lucé-Perroce (w depart. Orne), który sam biedny i mając parafian, między którymi najbogatszy zaledwie trzysta franków intraty — dokazał tego, iż wybudował kościół, probostwo i szkołę, urządziwszy loteryę, na którą puścił własny swój dom, jedyny spadek po ojcu. Pracą i jałmużną doszedł do tego, iż założył szpital i dom przytułku dla dzieci, gdzie 750 istot ludzkich znalazło już dotychczas schronienie, i gdzie dziś jeszcze zostaje ich 226. A w szpitalu dano przytułek i pomoc 836 chorym i starcom! Te liczby są wymowniejsze nad wszelkie wyrazy.

Wspomnę też tylko w nawiasem o siostrze Annie-Maryi Guillemine (w Wandei), w miasteczku La

Roche-sur Yon). Poświęciła się ona od lat najmłodszych niesieniu pomocy chorym. Widziano ją we wszystkich epidemiach cholery, zawsze w pierwszym szeregu nieznudzonej służby. W 1855 r., wyznaczona do szpitala miejskiego, od lat przeszło trzydziestu jest tam nadzorczynią nocną. Codziennie na swem posterunku, przechodzi z sali do sali, zatrzymując się tylko tam, gdzie ją wzywa cierpienie i boleść. Nie żądała nigdy, by jej wyznaczono jaką pomocnicę, i po kilku godzinach odpoczynku w dzień, wraca do swego obowiązku, niestrudzona nigdy, zawsze chętna.

Pragnę teraz zatrzymać uwagę czytelników moich nad jednym z najdramatyczniejszych i najtkliwszych faktów poświęcenia, jakie historia nagrody Montyona zapisała na swych kartach.

W Saintes (depart. Charente), jedno z dzieci małżonków Rabaud zostało okrutnie oparzone, zacząwszy od piersi, aż do kolan. Chłopcu groziła śmierć. Wezwany lekarz oświadczył, że jedyny ratunek był jeszcze w zastosowaniu szczypania skórniego (greffe épidermique). Natychmiast i bez najmniejszego wahania się, ojciec i matka, oświadczyli, że są gotowi poddać się tej bolesnej operacji. Pięć wielkich kawałów skóry zostało zdjętych z ojca, dwadzieścia dwa mniejsze z matki. Na szczęście, operacja ta, niezwykła, udała się. Chłopiec chorował czternaście miesięcy; ale nakoniec wyzdrowiał. Rodzice przez cały czas tej choroby i pomimo własnych cierpień, nie uchylili się od żadnej ofiary, zmuszeni ciągle trzymać chore dziecię na rękach!—To, coby można tu dodać, byłoby tak małą i nie znaczącą rzeczą, iż nie może przyczynić już nic zgola tej zasłudze i cnotcie. I zaiste, jest wiele zasług, jest wiele czynów godnych wspomnienia; ale ten przechodzi niemal wszystko, cokolwiek wiemy o poświęceniach tego rodzaju.

Pisarze moralnych i pocziwych powieści szukają często w swej wyobraźni wzruszających i budujących pomysłów. Otóż w tych dorocznych zdaniach sprawy, widzę prawdziwy skarb, z rzeczywistości wykopany.

Tak, wszystko, co dobre i pocziwe trzymajmy w wielkim szacunku; bo na tej drodze zasługi i cnoty, ale prawdziwej, ale bez skazy—nasze i całej ludzkości zbawienie. Dlatego to, zbieram tak skrętnie te drobne ziarnka, choć może to was, czytelnicy moi, nie zawsze zabawi. Ale zabawa? czyż to czas i pora potemu? Zbieram te ziarnka, te zdźbła drobne, jak pyłki, szczególnie, gdzie jest zasługa kobiety pozyskana czy pracą, czy uczuciem wielkiego obowiązku, który spoczywa na niej, od wygnania z Raju!... Nie śmieję się, że zaczepiam o tak dawne sprawy. Raj, toż to życie zacne, pocziwe, czyste!

Ale dosyć gawędy, a wracam do rzeczy. Jeden dzień Lutego będzie otąd stanowił datę dla tych kobiet, które we Francji poświęcają się nauce lekarskiej. Tego dnia w Paryżu, po długich sporach rozstrzygnięto kwestyą internatu w szpitalach i pierwsza kobieta została przyjętą, jako sprawująca obowiązki lekarza w szpitalu, co tu się zowie: *Internedes hôpitaux*. Jest to panna Augusta Klempke. Urodzona w San-Francisco, młoda lekarka ma zaledwie 28 lat. Słusznego wzrostu, i bardzo przyjemnej powierzchowności, panna Klempke jest jasną blondynką. Twarz, chociaż nie piękna, koścista, ale bardzo regularna, ma wyraz spokoju i wielkiej energii, kobieta-lekarz ubiera się skromnie, ale z wdziękiem wielkiego porządku i niewymuszonego smaku.

O wielkich zdolnościach i uczoności tej panny brzmi jeden głos powszechny całego fakultetu. Jest ona jednym z najzdolniejszych lekarzy szpitalnych, a może nawet przewyższa bardzo

wielu młodych medyków. Installowano ją w szpitalu tak zwanym *De Lourcine*. Jest to zakład przeznaczony dla kobiet, po większej części z kategorii *des incurables*—rany straszliwe i kalectwa śmiertelne — wszystko cokolwiek może dotknąć najsłabszej natury ludzką. Jest więc p. Klempke postawioną wobec takiej walki, która wymaga żelaznej woli i stalowych nerwów. Ale spokojna, z pogodnym obliczem, w tym szpitalu przypomina ona te święte swoje siostryce, które głupi fanatyzm polityczny usunął z posterunku, na którym tak mężnie walczyły....

Ze szpitala na plac publiczny—od skromnej leżarki, do *Tribunus Plebis*, skok jest dość wielki; ale cóż robić? Rzemiosło kronikarza dozwala i większych licencji—i jedno jeszcze co mić uniewinnić może, to, że ten plac Monge, na który was prowadzę, jest niedaleko szpitala, blisko tej jasnowłosej Amerykanki, która się mi uśmiecha na progu, podając przyjaźnie rękę.

Było to właśnie w rocznicę rewolucyi w 1848 roku. Są tu jeszcze ludzie, którzy ją święcą—szczerze i rzetelnie, nie opuszczając ani jednej kolei kieliszka! Taka rocznica, nie mogła się obejść bez pewnej demonstracyi na placu publicznym—jak zawsze. Tego roku wybrano dzień tej rocznicy na odsłonięcie pomnika Ludwika Blanc. Powiedzmy zaraz, że twórca posągu jest zarazem członkiem rady miejskiej i wielkim zwolennikiem człowieka, który wielką w swym czasie odegrał rolę. Dziś ta rola i człowiek wiele stracili ze swego uroku, a sądząc z tego, co się mówi i krzyczy wśród tłumu, ta apoteoza przyszła zapóźno! Wszak oto organa właśnie lewicy: *Le cri du Peuple* i *Voix du peuple*, piszą na całych szpaltach sensacyjne artykuły: *Apoteoza Wersalczyka i Posąg do odszrubowania!*

Ale zaproszeni i niezaproszeni składają pokąźny tłum ludzi, plac i ulice są zapchane. Pomimo największych wysiłków nie mogę się przebić na przód, a jakiś poważny jegomość radzi mi przyjacielisku zostać z brzegu; może przyjsz do takiego nacisku zamtąd—powiada—wskazując na zakryty posąg, że lepiej być nazewnątr. Słucham dobrej rady i czekam na miejscu.

Ale oto druga godzina; muzyka zagrała marsyliankę. Zasniona spada, zaproszeni biją w dłonie co siły — a z różnych stron, jakby rakiety, okropny świst rozdziera uszy; stary jegomość kręci wąsami i powiada: to *anarchiści!* I tak było w istocie. Policya, której ucho nie lubi świstów, wdaje się w tę sprawę i widząc, że wicherzyście trzymają się gromady — usiłuje wyrugować ich z miejsca. Ale ten manewr sprowadza zupełnie przeciwny zamiarowi skutek, gromada się rozprasza, ale wraz z nią i świsty są teraz wszędzie.... Wyłapać tych świerców, rzecz arcytrudna.

Powiedzmy jednak prawdę. Posąg, jako dzieło artystyczne, jest haniebny!... Maleńki Blanc, bo był prawie karłem, z maleńką twarzą, o delikatnych rysach,—wyrosł tu na ogromnego jakiegoś chłopca z głową obrzymą—i tak podobny do autora *Historji lat dziesięciu*, jak pięść do nosa. Jeżeli więc chciano to wygwizdać—miano w tem zupełną racyą....

Jak domyślić się łatwo, że nie stracono nadarzącej się okazji, żeby wypowiedzieć kilka oracyi, na cześć nieboszczyka i na zdrowie własne — wszyscy mówcy śpiewali na jedną i tę samą nutę. Wśród tych zmieniających się figur—na czerwono obitej mównicy,—ja stojący zdaleka, widzę tylko ich głowy, ruszające się oczy i usta; reszta ginie, zagłuszona okropnym świstaniem. Nie słyszałem, więc zamilczę o tem co mówiono, wiem tylko, że z pomiędzy znacniejszych figur,

mówili: p. Lacroy, minister handlu i p. Pelletan, poseł.... Jedną rzecz, którą dobrze widziałem, to polowanie na tak zwanych anarchistów, które się doskonale powiodło, bo policya z jaki dobry tuzin wsadziła do kozy.

Obchód zatem udał się doskonale. Czas był pogodny i piękny—muzyka grała wybornie. Mówcy wypowiedzieli wszystko, co im leżało na sercu; wpakowano do kozy ludzi osłabionych nerwów, bez najmniejszego uszkodzenia świętej nietykalnej osoby policyantów—co w Paryżu może być uważane, za pewien postęp w cywilizacyi; bo dotąd każdy Francuz, zwykły był okrutnie wierzący, ilekroć poczuł rękę policyanta na swoim kołnierzu. A więc zapiszmy i to, że Francya ostatecznie, daje największe rękojmie pokoju i porządku, i że książe Bismarck może spać spokojnie: nic go nie zaturbuje z tej strony.

W chwili zamknięcia tej kroniki odbieram list od Kraszewskiego z San Remo, dzielę się nim z wami, bo jest to bardzo interesujący przyzwynek—i do tak biednego zmęczonego życia naszego wielkiego pisarza—i do tej katastrofy, która tak nagle wstrząsnęła naszą planetą.

D. 25 Lutego 1887 r. San Remo.

„Żyję jeszcze, Bogu niech będą dzięki. Trzęsienie ziemi było tu straszliwe... Część domu, w którym mieszkałem, obaliła się w górę i spadło wiele kamieni na sufit mój. Uciekłem do ogrodu pół żywy; jeszcze do siebie przyjsz nie mogę. Ucieka co żyje—ja dotąd nie mogłem, choć chciałem serdecznie, bo kto wie, czy się to nie powtórzy?

Żyję zbolący, strwożony a przykuty interesami i ludźmi. Chcę około 2 Marca uciec tymczasowo do Szwajcaryi. Powóz, w którym noce spędzam, dla bezpieczeństwa stoi w ogrodzie. Nie śpię, nie jem; Bóg niech czyni, co łaska Jego. Ruina w duchu, w mieniu, w zdrowiu—wola Jego święta!

Twój Józef.

Tak więc—pod koniec tego życia—które całe było poświęcone pracy i służbie narodowej w literaturze, ten—co karmił pokolenia całe... naraz ujrzał wszystko w ruinie — zdrowie, mienie—wszystko; musiał przejść przez najtwardsze próby życia; a w końcu, jakby ostatecznie uraganie zawistnego losu, spotkać trzęsienie ziemi!

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 19-ty powieści pod tyt.: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ: Pogawędka. — Dawne pisarki polskie, (dokończenie), przez Bronisława Grabowskiego. — Podczaszanka, Obrazy z przeszłości, (dalszy ciąg), przez Mieczysława Krzywosąd-Kępińskiego. — Dwaj poeci. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Ruch muzyczny, przez Jul. Satlera. — Nowiny paryzkie, (dokończenie).

Dodatek obejmuje: Arkusz 19-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 4 Марта 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Wstawka do poszewek, stor i t. p. robotą szydełkową.

Rycina Nr 1.

Wstawka wykonana krętą bawełną Nr 60, w kierunku szerokości, na założeniu z 97 oczek. Kolej 1: Pierwsze 9 oczek opuścić, 1 ściśle oczko, 3 powietrzne oczka, 2 oczka opuścić, 13 słupków w kolejne 13 oczek, * 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w trzecie z rzędu ocz., 3 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu oczko, od * trzy razy powtórzyć, poczem 6 słupków w 6 kolejne oczko, † 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 3 z rzędu ocz., 3 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz., od † 3 razy powtórzyć, poczem 12 słup. w kolejne 12 ocz., 3 pow. ocz., 1 ściśle ocz. w 3 z rzędu ocz., 3 pow. ocz. 1 słup. w 3 ocz. z rzędu. Kolej 2: 8 pow. ocz., 13 słupków w kolejne 13 oczek (przyczem należy przeabiać obie żyłki poprzednich słupków (3 razy naprzemian: 5 pow. ocz., 1 słup. w poprzedni słupek, poczem 5 pow. ocz., 7 słup. w poprzednie 7 słup., 3 razy naprzemian: 5 pow. ocz., 1 słup. w poprzedni słupek, poczem 5 pow. ocz., 13 słup., 5 pow. ocz., 1 sł. w 8 z rzędu ocz. Kolej 3: 6 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 3 ocz. z pięciu pow. ocz., 3 pow. ocz., 1 słupek w poprzedni słup., 3 pow. ocz. 1 ści. o. w 3 z rzędu o., 3 pow. o., 2 ocz. opuścić, 19 słu. w kolejne 19 ocz., † 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 3 z rzędu ocz., 3 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 7 słup. w kolejne 7 ocz., od † powtórzyć raz jeden, poczem 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 3 z rzędu ocz., 3 pow. ocz., 2 ocz.

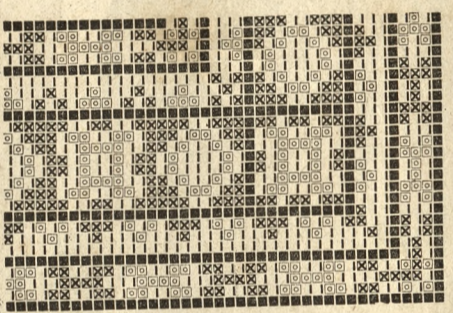


Nr 1. Wstawka do poszewek, stor i t. p. robotą szydełkową.

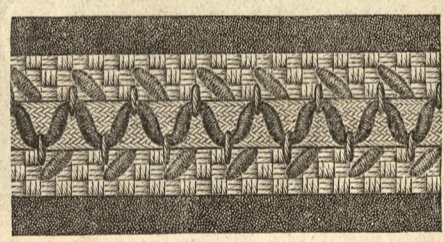
opuścić, 19 słup. w kolejne 19 ocz., * 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. (zawsze w 3 z rzędu ocz.) 3 pow. ocz., 1 słup. (zawsze w 3 z rzędu ocz.) od * powtórzyć. Kolej 4: 8 pow. ocz., 1 słup. w drugi z rzędu słup., 5 pow. ocz., 19 słupków w poprzednie 19 słup., 5 pow. ocz., dwa razy naprzemian: 7 słup. w kolejne 7 słup., 5 pow. ocz., 19 słup. w kolejne 19 sł., dwa razy naprzemian: 5 pow. ocz., 1 słupek w 8 z rzędu ocz. Kolej 5: 6 pow. ocz., † 1 ściś. ocz. w 3 z najbliższych 5 pow. ocz., 3 pow. ocz., 1 słup. w poprzedni słup., 3 pow. ocz., od † jeszcze raz powtórzyć, poczem 1 ści. o., 3 pow. o., 2 o. opuścić, * 7 słu. w kolejne 7 o., 3 pow. o., 1 ści. o., 3 pow. o., 2 o. opuścić, 7 słu. w kolejne 7 o., † 3 pow. o., 1 ści. o. w 3 o., 3 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 1 słupek w następny słupek, od ostatniego † jeszcze dwa razy powtórzyć, przy drugim powtórzeniu ostatniego słupka, nie należy wykonywać, poczem od * powtórzyć jeden raz, w końcu 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 6: 8 pow. ocz., 8 ocz. opuścić, 2 razy naprzemian: 1 słup. w następujący słupek, 5 pow. ocz., † 7 słup. w kolejne 7 słup., 5 pow. ocz., 7 słup. w kolejne 7 słup., 2 razy naprzemian 5 pow. ocz., 1 słup. w następny słup., poczem 5 pow. ocz., od † powtórzyć, 1 słup. w 8 ocz. z rzędu. W ten sam sposób należy wykonywać robotę w dalszym ciągu, pilnując się ciągle wzoru, zmniejszając i powiększając liczbę słupków stanowiących deseń. Na każdy gęsty szereg słupków i na każdy rząd kwadracików przezroczystych, idzie dwie koleje; najdłuższy szereg słupków czyli 19 słupków wypada wykonać w opisanej kolei 3 i 4, następnie w 13 i 14 kolei, wreszcie



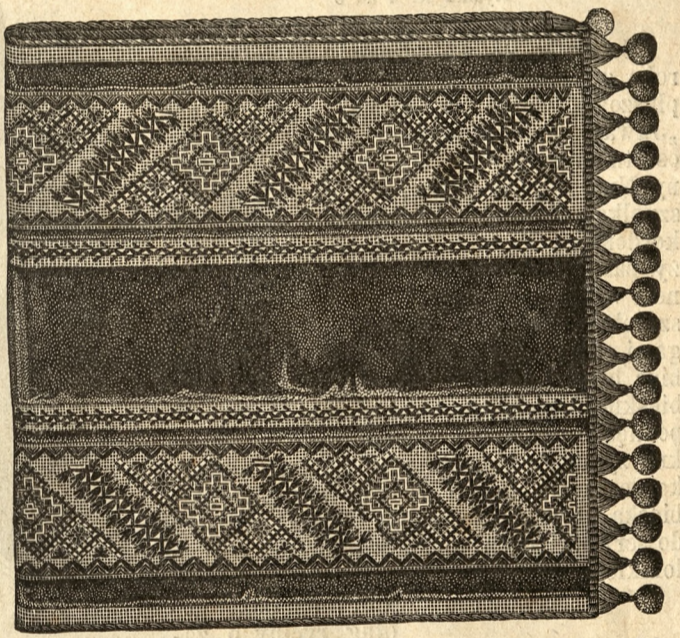
Nr 3. Poduszka na sofę krzyżową robotą. (Do ryc. 25 w Blu. Nr 10).



■ ciemno-pas., * jasno-pas., □ niebies., † tło.
Nr 2. Szlak z narożnikiem do poduszek, serwet i t p., krzyżowym ściegiem.



Nr 5. Szlaczek do r. 4 pocztowym haftem.

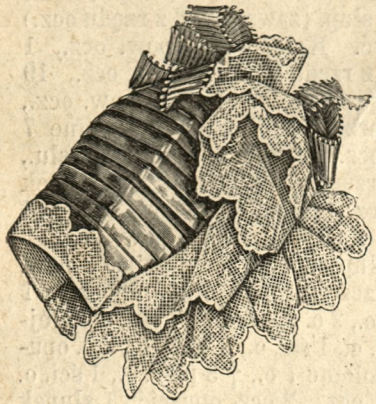


Nr 4. Serwetka na stół do roboty pocztowym i krzyżowym ściegiem. (Do ryc. 5 i 6).



Nr 6. Szeroki pas do serwety ryc. 4 pocztowym i krzyżowym ściegiem.

w 17 i 18 kolei; te ostatnie dwie koleje stanowią połowę deseni. W kolei 19 do 32 należy powtórzyć w odwrotnym porządku ten sam deseń, aż do kolei 3 poczem od 1 kolei do 32 należy powtórzyć robotę, aż do potrzebnej długości wstawki.



Poduszka na sofę krzyżową robotą.

Nr 8. Czepeczek z materji jedwabnej koronki i wstążki.

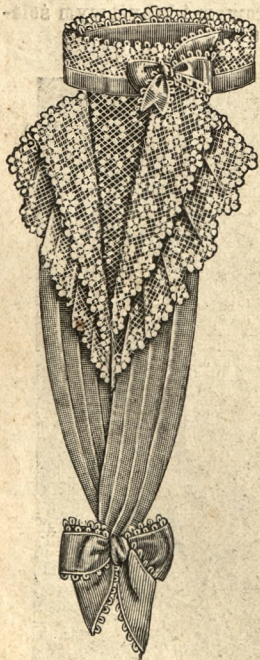
Rycina Nr 3 oraz ryc. 25 w Bl. Nr 10.

Poduszka podbita atlasem, obszyta sznurem i zakończona kwastami. Wierzch wykonany jest na podzielnej zwyczajnej kanwie podług deseni podanego pod ryciną 25 w Bl. Nr 10, krzyżowym ścięciem, oraz sznelką jedwabną, przez jedną nitkę kanwy wzdłuż i wszersz. Pod ryciną 25 w Bluszczu Nr 10 znajduje się wyszczególnienie kolorów użytych do haftu; kwiatek znajdujący się przy górnym brzegu deseni, stanowi środek poduszki.

Serwetka na stolik do roboty pocztowym i krzyżowym ścięciem.

Rycina Nr 4 do 6.

Serwetka 91 cent. długa, a 50 cent. szeroka z materiału w pasy, jedne brązowe pluszowe, drugie z wełnianej kanwy zwanej „Jawa“, koloru starego złota. Na tych ostatnich należy wykonać haft, podług ryciny Nr 5 i 6, niebieską, brązową i pasową sznelką, filozelą i krzyżkami ze złotego kordonku. Przed rozpoczęciem haftu należy pasy kanwowe ponaszywać złoty galonem w kierunku ukośnym, jeden i pół cent. szerokim, zamocować galon długimi ścięgami, brązową sznelką i jedwabiem, zdoabiać brzegi podług ryciny listkami z niebieskiej filozeli i pasowej sznelki. Desenik pomiędzy galonami złotymi wykonany jest krzyżkami z filozeli i sznelki, oraz złotym kordonkiem. Ząbki wzdłuż brzegów niebieską i brązową sznelką. Wązki szlaczek do serwetki naszywa się wzdłuż złotym galonikiem, trzy-czwarte centim. szerokim, na którym należy podług ryciny 5 zamocować sznelką brązową poprzecznymi ścięgami filozelą, poczem z boku daje się rząd ukośnych długich ścięgów niebieską sznelką.



Czepeczek z jedwabnej materji, koronki i wstążki.

Rycina Nr 8.

Nr 10. Kołnierzyk z żabotem

na podstawie tiulowej, 19 centim. szerokiej, a 17 cent. długiej w ten sposób, ażeby w środku pliski

rozchodziły się na 5 cent., a ułożywszy pliski na podstawie czepeczka tak, ażeby tworzyły denko i boki, przybrać podług ryciny koronką 10 cent. szeroką i kokardami z wstążki niebieskiej, 4 cent. szerokiej.

Czepeczek koronkowy z kwiatami.

Rycina Nr 9

Skroiwszy z petynety foremkę 22 cent. długą, w środku 6 cent. szeroką, ku bokom ściętą, należy takową obszyć drucikiem i objąć ukosem jedwabnym brązowego koloru, poczem należy zmarszczyć koronkę tabaczkowego koloru, 7 i pół cent. szeroką i upiąć takową lekko podług ryciny. Drugi kawałek koronki, mniej więcej półtora łokcia długi, należy umocować na foremce w ten sposób, ażeby z dwóch boków utworzyć szarfki 10 cent. długie, te ostatnie zczepiają się następnie na tyle główki kilkoma ścięgami. Galonik 4 cent. szeroki, a 30 cent. długi, haftowany



Nr 7 Przybranie stanika z repsu i paciorek
Deseń i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14.

paciorkami brązowymi i zakończony grelotkami, przyszywa się na czepeczku wzdłuż górnego brzegu koronki. Bukiecik z rumianków i polnych traw, zdoabia lewy bok czepeczka podług ryciny.

Żabot z krey, koronki i wstążki.

Rycina Nr 10.

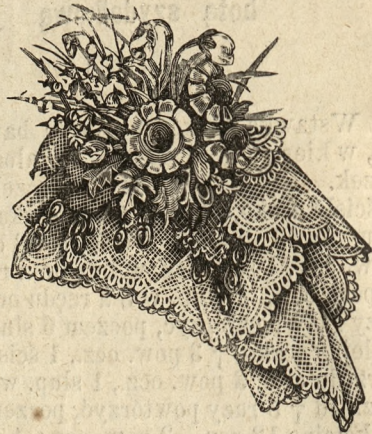
Na ten żabot należy ukroić z białego tiulu podstawę 42 cent. długą, przy szyi 8 c., w środku 11, w pasie 3 cent. szeroką, poczem ułożywszy dwa ukosy jedwabnej krey, z których każdy 36 cent. szeroki, a 32 cent. długi, podług ryciny w podłużne pliski, należy przyszyć takowe na podstawie, na 10 cent. od górnego brzegu, łącząc je u dołu za pomocą kokardy z pikotami z 7 cent. szerokiej niebieskiej wstążki. Z tej samej wstążki naszytej koronką, należy pokryć górną połowę podstawy i porobić wyłogi, z których każdy obszywa się przymarszczoną koronką, 12 c. szeroką. Na kołnierzyk 41 cent. obwodu mający należy również wstążkę 7 cent. szeroką, od góry

naszyć koronką, a od dołu wyłożyć na dwa centimetry. Kokardka z węższej wstążki zdoabia kołnierzyk podług ryciny.

Kamizelka jedwabna.

Rycina Nr 11.

Ukroiwszy z lekkiej materji w paseczki część 39 cent. długą, 47 cent. szeroką, należy takową podług wzoru potrójną kontrafałdę. Dolne zakończenie tej kamizelki stanowi rodzaj baweciku, ściętego podług ryciny ku bokom. Kołnierzyk 40 cent. szeroki, a 4 cent. wysoki, zapinany z tyłu na hafteczki, uzupełnia kamizelkę przybraną podług ryciny, guzikami z numizmatów.

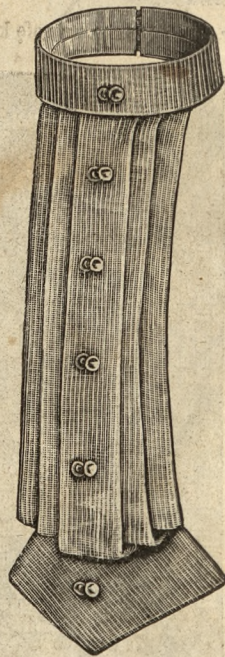


Nr 9 Czepeczek z jedwabnej koronki, paciorek i kwiatów.

Torebka do tytoniu szydełkową robotą.

Rycina Nr 15

Torebka wykonana różno-kolorowemi kordonkami i złotą nitką, ściślemi oczkami, z wyjątkiem kilku ostatnich kolej, przez które przewleczone są jedwabne sznurki pasowe do ściągania torebki służące; końce sznurków wszywają się w drewniane baryłki obciążone jedwabiem. Robotę należy rozpocząć na łańcuszku z 182 oczek, połączony pierwszy oczko z ostatniem, należy wykonać 53 koleje zwyczajną szydełkową robotą, pierwsze dwie i ostatnie trzy koleje pasowym kordonkiem, w trzeciej do 50 kolei należy zmieniać kolory kordonków podług deseni i objaśnienia ryciny 21, poczem należy zawsze ostatnie oczko jednego koloru przerabiać następującym kolorem; 54 koleją rozpoczyna się deseń ażurowy, przyczem należy przerabiać ciągle po 4 ocz. pow., 1 słupek w drugie z rzędu oczko, 1 pow. ocz., w końcu 1 ścis. łańc. ocz. w trzeciej z pierwszych 4 pow. ocz. Kolej 55: 1 ścis. ocz. w następne pow. ocz., 4 pow. ocz. poczem ciągle naprzemian: 1 słup., 1 pow. ocz., w końcu 1 ścisłe ocz. łańc. w 3 z pierwszych 4 pow. ocz. Kolej 56 i 57 jak poprzednia kolej. Kolej 58 złotą nitką, ciągle naprzemian: 4 słupki, z których dwa środkowe przedzielone dwoma powietrznymi oczkami, 3 słup. opuścić, w końcu 1 ścisłe łańc. ocz. w pierwsze ocz. tej kolei. Kolej 59 pasowym kordonkiem ciągle naprzemian: 6 słupków w 2 pow. oczko poprzedniej kolei, 1 ścisłe oczko w żyłkę pomiędzy słupkami, w końcu 1 ścisłe oczko w pierwsze oczko tej kolei. Kolej 60 złotą nitką, ciągle naprzemian: 6 o. ścis. w kolejne 6 słup., 1 o. ścis. w żyłkę pomiędzy słupkami 53 kolei, w końcu jedno ścis. ocz. łańc. w pierwsze ocz. tej kolei. Po zakończeniu torebki, należy ją podszycić białą irchą, zdoabiać przytem dolny brzeg baryłkami obciążeniami jedwabiem i frendzlą z różnokolorowych kordonków, przewiązywaną złotą nitką podług ryciny.



Nr 11 Kamizelka jedwabna.

Dwa kwadraty gipiurową robotą.

Rycina Nr 16 i 17.

Kwadraty siatkowe gipiurowym haftem przyozdobione, mogą być wykonane białemi, szaremi lub kolorowemi niemi.

Kwadrat ryciny 16 należy podług deseniowi wykonać ścięciem tkackim, cerowanym i ścięciem koronkowym point-d'esprit. Środkowy kwadracik otacza się okrętką. W podobny sposób wykonany jest kwadrat ryc. 17, z tą różnicą, że kontury cerowanego kwadratu, są do koła gęsto dziergane. W następnych kratkach należy wykonać rząd krzyżyków, na każdy krzyżyk nitkę naciągnąć po dwa razy wzdłuż i w poprzek, poczem wykończyć okrętką.

Desen na okładkę książki do nabożeństwa płaskim i gałązkowym ścięciem.

Rycina Nr 20.

Haft wykonany na ciemnym aksamicie, podszytym perkalą złotym kordonkiem, złotą nitką i filozelą. Po przerysowaniu deseni na materiale, ramiona i środkową kolumnę krzyża zapełnić kordonkiem złotym, naciągniętym w kierunku prostym, poczem ścięciem cerowanym przesyć takowy w kierunku przeciwnym, w końcu kontury otoczyć nieco grubszym kordonkiem; koronę cierniową należy wykonać atłaskiem, promienie zaś złotą przędzą, ścięciem kordonkowym. Gołąbek srebrny może być przymocowany na wierzchu krzyża, lub wyhaftowany srebrnym kordonkiem. Oset u stóp krzyża wykonany atłaskiem filozelami w dwóch cieniach, jak również gałązki z róż, stanowiące narożniki okładki.

Ułatwianie roboty sukien, okryć, bielizny i t. p.

Wzory kroju, na tablicy podawane, dla łatwiejszego odróżnienia jednych od drugich i aby je bez wielkiego mozółu wynaleźć można, odznaczone są każdy odmiennymi konturami.

Wszystkie wzory tych krojów, tak na pierwszej jak i na odwrotnej stronie tablicy, oznaczone są figurami i wedle porządku ponumerowane. Wszystkie wzory kroju, będące częściami formy jednego przedmiotu, objęte są jedną rubryką umieszczoną pod właściwą liczbą rzymską, która je na spisie krojów oznacza. W wykazie tym podany jest opis form umieszczonych na tablicy. W wykazie wzorów kroju znajduje się numer i oznaczenie figur kroju, przez co wyszukanie tych figur staje się łatwym. Podawane przez nas formy są zwykle umierzone dla osób średniego wzrostu i miernych kształtów, należy zatem podług potrzeby zmniejszać je lub powiększać.

Wzory z tablicy zdejmować można w rozmaity sposób. Najłatwiej jest położyć na tablicę stosownej wielkości przezroczysty materiał, np. muślin, (tylko nie miękki i nie pomięty) i przebijające przez niego kontury oznaczyć ołówkiem na materiale, wraz ze wszystkimi liczbami, znakami i liniami (praktycznie jest wyrysowane części sfastrygować i na figurze upasować). Jeżeli się formę robi z przezroczystego papieru, na przykład z angielskiej bibułki, postępuje się jak wyżej. Jeżeli zaś z grubego nieprzezroczystego papieru, to kontury oznaczyć radełkiem, które nabyć można w sklepie p. Krz. Bruna na rogu Placu teatralnego i ulicy Biełańskiej za kop. 50. Radełko używa się w następujący sposób:

Papier przeznaczony na wykrojenie formy położyć pod tablicę, przymocować dobrze jedno do

drugiego, aby się osobno nie przesuwało i przeciągnąć radełkiem kontur danej figury. Liczby, znaki i t. p. naznaczyć najpierw nakłuciem, a następnie po odjęciu tablicy z papieru osobno odznaczyć ołówkiem, jest to przecież postępowanie mozolne. Kroje większe od tablicy naznaczają się wedle potrzeby, jednym lub kilkoma „załoženiami“, to jest: że wystające rogi po za tablicę zakładają się i podług tego założenia powstające załamanie formy, oznacza się na wzorze kroju linią, złożoną z małych przerwanych krescetek (- - - -). Przy przekrawaniu figury, która ma takie założenia, najlepiej założenia te osobno na papier lub muślin przenieść, i dopiero następnie wzdłuż linii, załamanie oznaczających, z resztą formy połączyć i dopiero z takiej całej już formy w całości krajać.

Bardzo wielkie kroje są zwykle rozdzielone, to jest oznaczone w dwóch częściach na tablicy i trzeba je wzdłuż napisem oznaczonej „przecięciowej linii“ i podług liter, w jedną całość złożyć tak, aby miejsce oznaczone jednej części, trafiło na miejsce drugiej, tak samo oznaczonej części. W ten sposób przecinane (w dwóch częściach podawane) figury i formy z kilkoma założeniami, bywają na tablicy oznaczone w zmniejszeniu do 15 części w ten sposób, w jaki się powinno dane figury wzdłuż przecięciowej linii zestawiać i założenia odkładać, dla dokładniejszego zrozumienia formy. Czasami jednak przy dużych krojach, proste lub ukośne brzegi, nie są poznaczone w całej długości, ale w miejscu, gdzie się kontur kończy, strzałka oznacza kierunek przedłużenia linii, długość jest wtedy zwykle oznaczona w opisie.

Proste kroje podajemy w zmniejszeniu, oznaczając jednak liczbami szerokość i długość. Takie formy należy przed ukrojeniem wedle potrzeby powiększyć.

Wszystkie formy są podane bez dodatków na szwy, należy więc przy krajaniu dodawać materiału na zaszywie. Formy podane w połowie





Nr 16. Połowa kwadratu na serwetę gipiurową robota.

oznaczone są w miejscu, gdzie też forma się na połowę składa, małymi przerywanymi kreskami (---). Przy krajaniu takiej części, należy materiał wziąć podwójnie, składając go tak, aby załamanie w prostym kierunku nitki trafiało na linię oznaczającą złożenie i wówczas krajać w całości. Czasem bywa, iż trzeba, aby nitka materiału szła ukośnie wzdłuż linii oznaczającej środek, wówczas zaznaczone to jest w opisie. Rękawy zwykle składają się z dwóch części: wierzchniej i spodniej która to część (spodnia) bywa inaczej od górnej podcięta, otóż to podcięcie bywa u nas zawsze na formie wierzchniej części stosownym konturem oznaczone z napisem. Nakoniec zwracamy uwagę, iż w tych formach gdzie krój jest wątpliwy, czy ma się krajać z materiału prosto lub ukośnie wziętego, jak na przykład przy krajaniu gorsetów, kierunek nitki oznaczamy liniami i napisem.

Łączenie pojedynczych figur odbywa się podług liczb w ten sposób, aby liczba umieszczona na brzegu jednej figury, trafiała na takąż samą liczbę drugiej figury.

Cel rozmaitych znaków, liczb, kropek, krzyżyków i linii, podawanym bywa zawsze w opisie. Jeżeli na jakiej figurze znaki te nie umieszczone są na konturze, wówczas są one z nim złączone cienką gładką linią, która w dalszym krajaniu nie ma żadnego zastosowania.



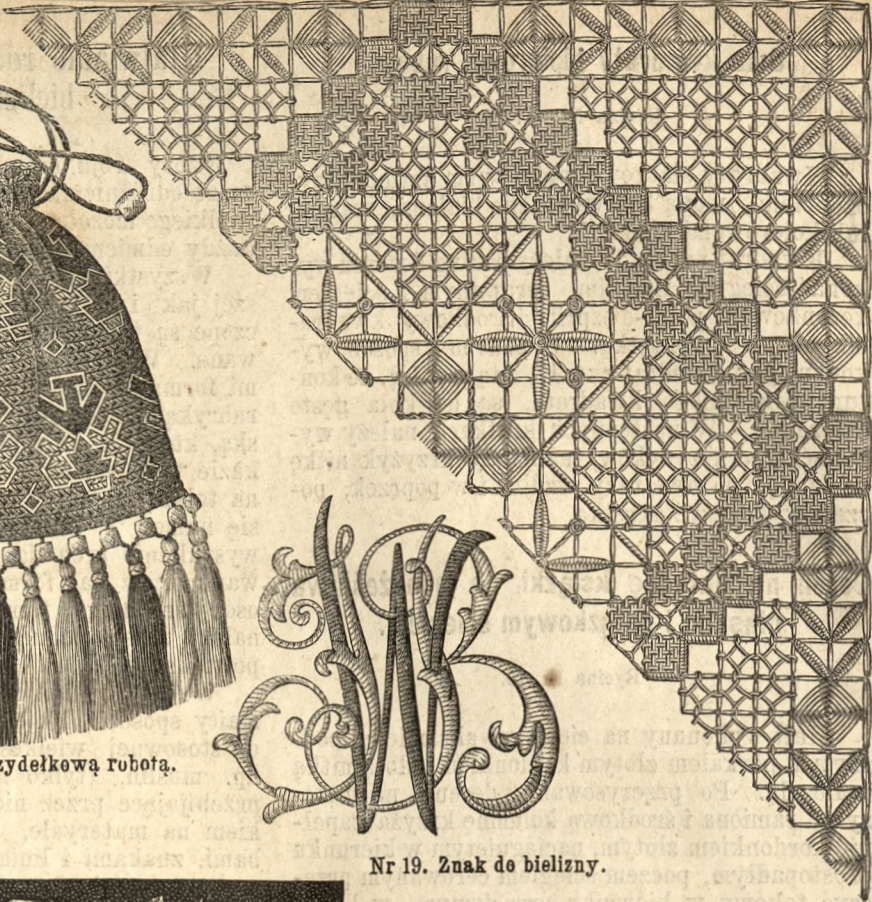
Nr 18. Znak do bielizny.



Nr 15. Woreczek do tytoniu szydełkową robota. (Do ryc. 21).



Nr 19. Znak do bielizny.



Nr 17. Połowa kwadratu na serwetę gipiurową robota.

Przepisy gospodarskie

Grzanki z winem.

Pokrajać chlebek angielski, okrojony ze skórki w pół calowe plasterki, połączyć dobrem winem czerwonym bordowskim, niech tak poleżą z godzinę, wtedy wino ściękle z grzanek na talerz, znowu na wierzch połączyć, każdą grzankę umoczyć w rozbitym z cukrem jajku, posypać tartą przesianą bułką i usmarzyć z lekka na klarowanym maśle, robiąc to nadzwyczaj szybko, po kucharsku mówiąc tam i napowrót, żeby się nie bardzo zrumieniły, bo inaczej uschną, a powinny być zupełnie wilgotne od wina. Oddzielnie zgotować na cztery osoby, po dwie grzanki na każdą rachując, kwaterek czerwonego wina z cukrem, goździkami i cynamonem, podając to gorące wino w sosierce przy grzankach. Bardzo orzeźwiająca, smaczna i pewna legumina na post.

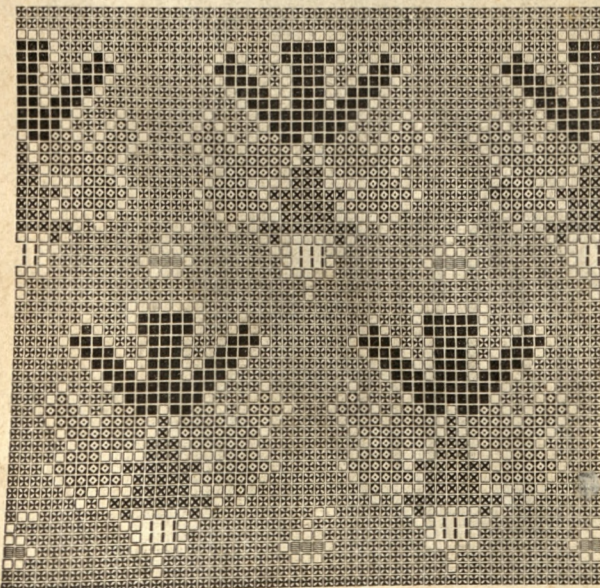
Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa ze śmietaną i jajkami.
2. Sztukamięsa z sosem grzybowym.
3. Kalafior.
4. Cielęcina z sałatą młodą.
5. Naleśniki zapiekane z cytryną.

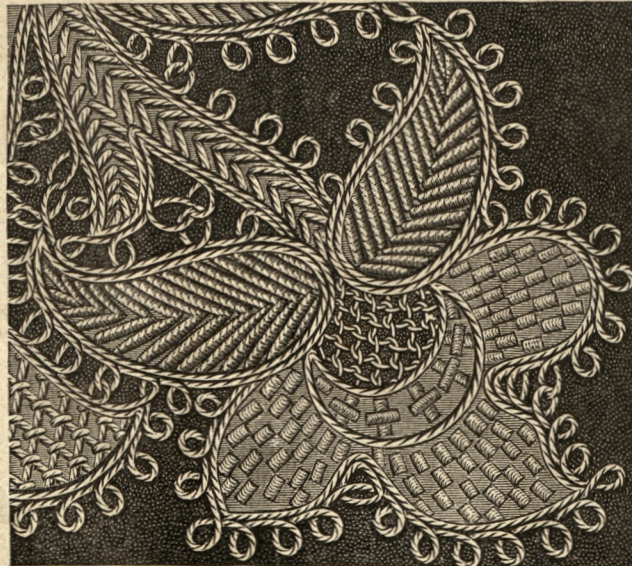
Tablica krojów dołączoną była do N-ru 10 Bluszczy.



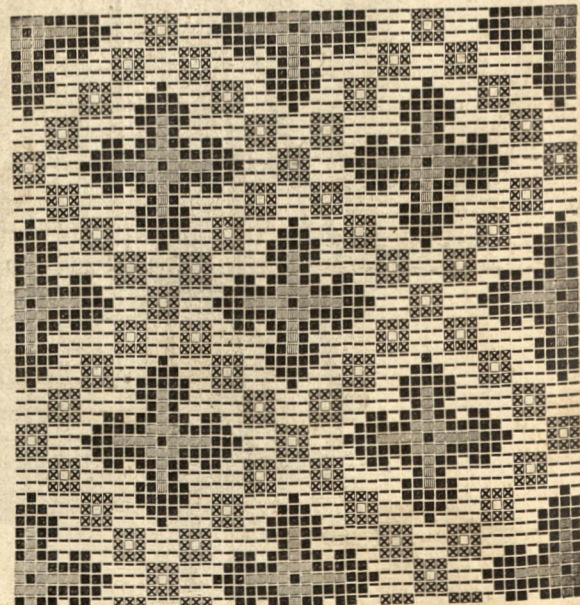
Nr 20. Okładka haftowana na książkę do naboż-nstwa.



Nr 21. Deseń do ryc. 15 robota krzyżową.



Nr 23. Część haftu na wątek do r. 24 w Bl. Nr 10. Zmniejszony.



Nr 22. Deseń na pantofle i t. p. krzyżową rob.

■ czarny, □ zielony, * lila, ■ niebieski, □ złoty, ' biały, □ pasowy.

■ ciemno-zielony, □ jasno-zielony, *ciemno brązowy, □ jasno-brąz, ' tło. Nr 22. Deseń na pantofle i t. p. krzyżową rob.